Rok VIII. Październik 1902. Nr. 10.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY POLITYCE NARODOWEJ

ORAZ ZAGADNIENIOM ŻYCIA SPOŁECZNEGO, EKONOMICZNEGO I UMYSŁOWEGO.

Redakcya i Administracya: **Kraków**, ul. Jabłonowskich, 9.

POLITYKA DEMOKRATYCZNO-NARODOWA W ZABORZE PRUSKIM.

Należąca do Prus dzielnica polska różni się wybitnie pod względem zachowania się politycznego od pozostałych dwóch zaborów, a różnica ta najsilniej bodaj ujawnia się w stosunku do najnowszego prądu, który coraz szerszem dziś przez całą Polskę płynie łożyskiem. Gdy w zaborze rosyjskim, gdzie się prąd wszechpolski zrodził, niesione przezeń nowoczesne zasady polityczne stały się własnością tylko pewnego, jeszcze dziś niezbyt licznego zastępu ludzi, który w ciężkiej walce z rządem pracuje nad oświatą narodową mas i podniesieniem poziomu pojęć politycznych inteligentnego ogółu; gdy w Galicyi prąd ten zjawia się i szerzyć zaczyna obecnie, jako nowa idea, odświeżająca atmosferę i odradzająca myśl polityczną społeczeństwa — w zaborze pruskim powszednia konieczność coraz częściej w ostatnich czasach zmusza szerokie warstwy społeczeństwa do stosowania tych zasad na każdym kroku, nie z przywiązania do danego kierunku politycznego, ale dlatego, że inaczej być nie może. Te zasady, które w dwóch innych dzielnicach idą poniekąd z góry, szerzone przez zwarty obóz polityczny, tu rodzą się na miejscu, w codziennej pracy i walce, dyktowane przez instynkt samozachowawczy narodu, który nie chce zginąć, ani oddać swego, przez wieki pracy zdobytego dobra czyhającemu na nie wrogowi.

Jakkolwiek polityka oficyalna, znajdująca swój wyraz w przemówieniach parlamentarnych posłów polskich w Berlinie, w deklaracyach tytularnych przewódców społeczeństwa, jeszcze mówi co innego, polityka faktyczna, istotna akcya polityczna społeczeństwa już oparła się od szeregu lat na tych samych właściwie zasadach, które leżą w podstawie kierunku

demokratyczno-narodowego i które szerzy w całym kraju naszym ruch wszechpolski.

Polityka wrzekomych kierowników społeczeństwa, szlacheckich jego przedstawicieli, powołująca się dawniej na traktaty i przyrzeczenia królów pruskich, a później, gdy rząd drwił nazbyt z tego, na lojalność lub choćby legalność ludności polskiej, na jej zasługi dla państwa, na płacone przez nią podatki i na krew dla niemieckiego cesarstwa przez żołnierzy polskich przelewaną, polityka ta wykazała najzupełniejszą jałowość i całkowicie zbankrutowała. Jeżeli echa jej rozlegają się jeszcze, to dlatego tylko, że przedstawiciele narodu nic pozatem nie mają do powiedzenia, że piersi ich zawązkie, ażeby mogli przemówić silnym głosem walczącego o swą przyszłość ludu.

Ogół polski w zaborze pruskim, nauczony ciężkiem doświadczeniem i zahartowany w twardych warunkach życia, zrozumiał, że wartość traktatowych zobowiązań państwa zaborczego jest złudzeniem a polityka wyżebrywania lepszego losu przy uległości i pokorze — fałszem i niedorzecznością, że sile wroga trzeba przeciwstawić własną siłę i że siła ta nasza spoczywa w masie ludowej. W ślad za tem przychodzi stopniowo zrozumienie, że interesy tej masy ludu to główne interesy narodu, bo podniesienie materyalne i cywilizacyjne ludu da dopiero narodowi siłę, pozwalającą mierzyć się z najniebezpieczniejszym wrogiem.

W tym kierunku postępuje myśl polityczna społeczeństwa a postępu tego, jak powiedziano, nie zawdzięcza ono zjawieniu się nowego prądu, propagandzie jakiejś nowej szkoły, jeno logice życia i walki codziennej, która ze strony niemieckiej w tak brutalnej prowadzona jest postaci, że wnioski z niej wypływające są jasne dla najsłabszych nawet umysłów.

Ewolucya społeczna, odbywająca się w dzielnicy pruskiej w znacznej mierze pod wpływami walki o byt narodowy, sprowadziła przodującą dotychczas warstwę do tak nieznacznej liczby i tak dalece zmniejszyła jej siły materyalne, że o dalszem jej przodownictwie i moralnych rządach w kraju mowy być nie może; na pierwszy plan wysuwa ona warstwy nowe, których znaczenie polityczne potraja się dzięki odrodzeniu narodowemu tych prowincyi, gdzie tylko lud jest polskim, gdzie nikt nie myśli nawet o oddzieleniu sprawy narodowej od sprawy, od interesów ludu.

W tych warunkach polityka naszego społeczeństwa w zaborze pruskim pozyskuje szeroką, jednolitą podstawę: budowa społeczeństwa i konieczność walki z nieustannie czynnym a wszędzie obecnym wrogiem nakreślają jej stały kierunek, od którego bardzo zboczyć nie może, chociażby największe usiłowania w tym względzie czynili jej sternicy. Polityka ta musi być w swoich elementarnych zasadach polityką demokratyczno-narodową.

Jeżeli, pomimo zgodnej i konsekwentnej walki z niemczyzną, jaką w tej dzielnicy z Niemcami prowadzimy, armia polityczna polska nie przedstawia się nawewnątrz jednolicie, jeżeli dzieli się na obozy, prowadzące częstokroć z sobą zawziętą walkę, to pochodzi to w części z naturalnych i koniecznych różnic w poglądach na szczegóły, na metody walki; w części stąd, że okres przejściowy od dawnego porządku rzeczy jeszcze się nie skończył, że przodujące dotychczas sfery jeszcze sobie roszczą pretensye do hegemonii i probują ogółowi w pewnej mierze narzucać zbankrutowane hasła, opierając się nowym, wysuwanym przez samo życie; a przedewszystkiem stąd, że społeczeństwo dotychczas nie ma odpowiedniej organizacyi politycznej, skutkiem czego powstają częstokroć przypadkowe zupełnie ugrupowania, pod wpływem interesów, nie mających z polityką nic wspólnego.

Na miejsce warstwy szlacheckiej, która, mając przywilej wyższej oświaty i główną siłę materyalną, sprawowała tem samem moralne rządy w kraju, nowa, silna warstwa oświecona jeszcze się nie wytworzyła: żywioły mieszczańskie, grające coraz donioślejszą rolę w życiu tej dzielnicy, wychowując się pod wpływami praktycznej pospolitości umysłowej mieszczańskiego życia Niemiec, w atmosferze wytężonego współzawodnictwa ekonomicznego, nie dosięgnęły jeszcze tego poziomu umysłowego, na którym się obejmuje szersze interesy narodowe. Skutkiem tego kraj, mając ludność względnie dobrze zaprawioną do walki politycznej, cierpi na brak inteligentniejszego, szerzej myślącego żywiołu, z jednej strony wytwarzającego opinię w rzeczach polityki narodowej, z drugiej zaś — zdolnego do przewodniczenia masom i ich organizowania. Te więc żywioły, które stanowią główną siłę społeczeństwa, które dziś prowadzą właściwą walkę z napierającym wrogiem, pozostają niezorganizowanymi i w bardziej skomplikowanych sprawach, wznoszących się choć

cokolwiek tylko nad poziom najkonkretniejszych zadań, nie wytwarzają wyraźnej, jasno sformułowanej opinii.

W dzisiejszem społeczeństwie głównym organem, wyrażającym opinię sfer w tym względzie twórczych jest prasa, a ze wszystkich dzielnic polskich największe posiada ona znaczenie właśnie w zaborze pruskim, skutkiem wyższego poziomu oświaty w społeczeństwie tamtejszem. W prasie wszakże zaboru pruskiego tylko redakcye paru pism, t. zw. konserwatywnych, uzależnione są materyalnie i moralnie od wydających te pisma sfer ziemiańskich i duchownych, związanych przynajmniej silnymi węzłami towarzyskimi, posiadających zatem pewną organizacyę i mających swą, dziś już wprawdzie niezbyt wpływową opinię.

Reszta pism liczy się tylko z prenumeratorami, a ci się rekrutują z pośród szerokich mas społecznych, nie zorganizowanych, nie posiadających opinii w zakresie bardziej złożonych zagadnień politycznych. Masy te rozumieją już swe bezpośrednie potrzeby, istotę swego stosunku do bezpośrednich wrogów, do Niemców, wreszcie zdają sobie w znacznej mierze sprawę z tego, na czem codzienna walka z niemczyzną ma polegać, słowem, jak powiedziano, rozumieją one i wcielają w życie elementarne zasady polityki demokratyczno-narodowej. W tym też zakresie opinia ich jest wyraźna i, jako taka, wywiera nacisk na organy prasy, które, choćby chciały, nie mogą przeciw tym zasadom propagandy prowadzić. Gdy wszakże idzie o zagadnienia wyższego rzędu, nie stanowiące przedmiotu codziennego doświadczenia i codziennej działalności, nacisk opinii ustaje i redakcye mają wolne ręce do prowadzenia swojej polityki. Tym sposobem demokratyzacya polityki narodowej przy braku organizacyi mas i odpowiedniego ich przewodnictwa oddała nadmierny wpływ polityczny w ręce redaktorów i wydawców pism, a więc powierzyła go w znacznej mierze przypadkowi.

Nikt nie może podawać w wątpliwość olbrzymich zasług prasy zaboru pruskiego na polu narodowego uświadomienia i wyrobienia politycznego szerokich mas społeczeństwa; ale przy całem tem uznaniu nie wolno też nikomu zamykać oczu na ujemne skutki, jakie wynikać muszą z oddania kierownictwa politycznego w ręce tak przypadkowych ugrupowań, a jeszcze częściej tak przypadkowo zjawiających się jednostek, jakiemi są redaktorzy, a tem bardziej wydawcy dzienników.

Wydawca pisma zawsze obok interesu obywatelskiego rządzi się interesem wydawniczym, zwykle nawet wydawnicze względy zajmują u niego pierwsze miejsce, a zdarza się, że wszystko się od nich uzależnia. Jeżeli tedy prasa jest w rękach wydawców prywatnych, jeżeli po za jej organami nie stoją organizacye polityczne, nadające im kierunek i wykonywające nad nim dozór, jeżeli wreszcie opinia polityczna ogółu czytelników nie jest dość krytyczna we wszystkich ważniejszych zagadnieniach politycznych i nie jest zdolna wywierać wszechstronnego nacisku na kierunek pisma, to kierunek ten w znacznej mierze urabia się pod wpływem upodobań i nie mających nic wspólnego z polityką interesów wydawcy.

Stąd właśnie pochodzą główne wady życia politycznego w zaborze pruskim.

Stąd pochodzi przedewszystkiem brak jedności w działaniu żywiołów demokratycznych, stąd istnienie obozów, które się nawzajem zajadle zwalczają, pomimo że w podstawach kierunku nie różnią się prawie wcale. Na to pozorne przeciwieństwo polityczne, po za pospolitemi niechęciami osobistemi, wpływa najczęściej współzawodnictwo wydawców, uważających inne pisma za tem niebezpieczniejsze, im bliższe są barwą własnym ich przedsiębiorstwom.

Jak powiedziano wyżej, same warunki życia już ustaliły w społeczeństwie zaboru pruskiego najelementarniejsze zasady polityczne, zasady demokratyczne i narodowe, które muszą stać się podstawą wszelkiej polityki realnej na całym obszarze naszej Ojczyzny. Ale w społeczeństwie tem, wskutek zastoju życia umysłowego, wskutek szczupłej liczby żywiołów wyżej oświeconych, nie dojrzało rozumienie szerszych, bardziej skomplikowanych zagadnień polityki narodowej. Sprzyja to wytwarzaniu się w masach błędnych i szkodliwych pojęć, fałszów i złudzeń, które kierownicy polityczni społeczeństwa powinni rozpraszać przez rozjaśnianie trudniejszych zagadnień. Na tem właśnie polega oświata polityczna.

Tymczasem, w wielu wypadkach widzimy, że pisma, zamiast usuwać najbardziej rozpowszechnione w masach błędy, wzmacniają je i robią sobie z nich podstawę popularności. Wydawca wie, że prędzej się dochodzi do zwiększenia liczby prenumeratorów pisma przez schlebianie błędom i słabościom masy, aniżeli przez ich tępienie.

Dlatego to w okresie obecnym, będącym może najważniejszą chwilą w dziejach naszego społeczeństwa w tej dzielnicy, w chwili, gdy temu społeczeństwu najwięcej potrzeba tego męzkiego patryotyzmu, który, skromny w słowach, nie cofa się przed żadnym pożytecznym dla sprawy narodowej czynem — mamy tam pisma — i te są właśnie najpoczytniejsze — uprawiające patryotyzm krzykliwy, patryotyzm jaskrawych a popularnych frazesów, utrudniających z jednej strony polityczne myślenie, z drugiej zaś dających ludziom tanią satysfakcyę, zastępującą niejednemu czyn pożyteczny dla narodu. Dlatego też teraz, gdy społeczeństwu temu więcej, niż kiedykolwiek, potrzeba wzmocnienia poczucia łączności z pozostałymi odłamami narodu, gdy dla sprawy polskiej wogóle coraz potrzebniejszem jest wzmocnienie się poczucia jedności narodowej wszystkich dzielnic, gdy poczucie to w innych zaborach pod wpływem nowych prądów myśli szybko wzrasta, zwłaszcza wśród żywiołów demokratycznych — mamy tam pisma, które schlebiając wytworzonemu w masach poczuciu wyłączności dzielnicowej, działają w duchu przeciwnym, dyskredytując pracę narodową innych dzielnic, budząc nieufność do nich i niechęć do moralnej chociażby łączności z niemi. Dlatego to wśród prasy demokratycznej zaboru pruskiego widzimy pisma, które, rozdmuchując w niedojrzałych politycznie czytelnikach skłonność do liczenia w walce z Niemcami na cudzą opiekę i wiedząc, że roztaczanie przed nimi obrazów tej opieki jest ponętne, szerzą fałsze o życzliwości Moskali, cara i carskiego rządu dla Polaków, i posuwają się do takiego w tym względzie entuzyazmu, że, gdyby ich wpływowi nie przeciwdziałano i gdyby miały do czynienia z mniej zrównoważonem społeczeństwem, mogłyby z niego zrobić powolne w ręku Rosyi narzędzie, w chwili gdyby ta powzięła plan zyskania czego na Niemcach kosztem naszej klęski. Dlatego wreszcie w chwili, gdy Niemcy coraz więcej zużytkowują kościół katolicki do walki z polskością, gdy niemieckie stronnictwo katolickie coraz wyraźniej przeciw nam się zwraca, mamy pisma, które, licząc się z tem, że większość ludności śląskiej jeszcze nie uświadamia sobie dobrze antagonizmu między polskością a niemczyzną w łonie kościoła katolickiego, zamiast stopniowo wyzwalać ją z pod panowania błędnych pojęć i budzić nieufność do katolików niemieckich, w przesadnej obawie o swe interesy utwierdzają raczej ogół czytelni-

ków w błędach i same rzucają go w objęcia niemieckiego centrum. Dlatego społeczeństwo polskie w zaborze pruskim, najdzielniej ze wszystkich odłamów naszego narodu walczące o swój byt, o swą ziemię i kulturę, tak mętne stosunkowo ma pojęcia o szerszych zagadnieniach naszego narodowego bytu, tak mało bierze udziału w tym potęgującym się dziś szybko ruchu moralnego zjednoczenia narodowego, tak wreszcie niespójne jest w granicach własnej dzielnicy, nie robiąc prawie nic dla wytworzenia większej łączności między Poznańskiem, Prusami Zachodniemi i Wschodniemi, Ślązkiem i wychodztwem polskiem w Niemczech.

Cała Polska ma uznanie dla męztwa i wytrwałości społeczeństwa pruskiej dzielnicy, czuje dla niego wdzięczność za tę walkę, która ma olbrzymie znaczenie dla przyszłych losów całej Ojczyzny; i nasze stronnictwo w pozostałych dzielnicach te uczucia dla rodaków naszych w Wielkopolsce, Prusiech, i na Ślązku nie słabiej pewnie od innych żywi, a wysoka ocena ich zasług z jego ust może najczęściej wychodzi. Ale to nie może mu przeszkadzać do stwierdzenia przykrej prawdy, do wytykania tymże rodakom wad ich życia, gdy one dla narodowej sprawy są szkodliwe; tem bardziej zaś musi się czuć uprawnionem do tego, że kierunek jego i tam czyni zdobycze, że i tam istnieje jego rozrastający się stopniowo odłam.

Powyższe wady politycznego życia w zaborze pruskim nie ustąpią dopóty, dopóki praca polityczna będzie się tam ograniczała do dziennikarstwa i akcyi wyborczej, dopóki czynne politycznie żywioły nie wytworzą stałej organizacyi, która we wszystkich kierunkach iść będzie według planu i do tego planu nagnie uzależnione od siebie organy prasy. Wtedy skończy się przewaga współzawodnictwa wydawniczo-kupieckiego nad zadaniami polityki narodowej, wtedy miejsce tego współzawodnictwa zajmie szerokie współdziałanie polityczne; wtedy będzie istniała w zaborze pruskim jednolita, nawet w sprawach szerszego znaczenia, polityka narodowa, oparta na masach, świadomych swej siły i kształconych w świadomości narodowych potrzeb.

Mając poczucie tych braków życia politycznego swego społeczeństwa, ten odłam młodszych pracowników, który nasz kierunek w zaborze pruskim przyjął, wystąpił właśnie na widownię z hasłami bezpośredniej pracy polityczno-organizacyjnej

w masach ludowych, a nienajgorszym owocem tej pracy jest berlińskie Towarzystwo Demokratyczne, które przez krótki czas swego istnienia zdołało wytworzyć typ szerzej myślącego, politycznie samoistnego rzemieślnika i robotnika.

Pierwszorzędnem narzędziem tej działalności są właśnie organy prasy, i dlatego ciż sami działacze od początku wzięli się do równoległej pracy dziennikarskiej. Ogólny wszakże duch życia politycznego i warunki praktyczne pociągnęły ich dalej w tym kierunku, niżby należało, i «demokratyczno-narodowe» dziennikarstwo rozrosło się zanadto w stosunku do skromnej pracy polityczno-organizacyjnej, prowadzonej bezpośrednio w masie społecznej. Do tej pracy dziś nawrócić trzeba, na nią główny położyć nacisk, bo w niej leży uzdrowienie społeczeństwa z jego wad politycznych i ona tylko stworzy prawdziwą politykę narodową.

POCHODZENIE I ISTOTA SYONIZMU.

I.

W ostatnich czasach dużo mówiono i pisano o ruchu syonistycznym, właściwie należałoby powiedzieć — zaczęto mówić i pisać o tej sprawie tak dla nas ważnej, a dotychczas dorywczo i powierzchownie traktowanej.

Prasa, zwłaszcza codzienna, informowała wprawdzie czasem czytający ogół polski o ruchu syonistycznym zagranicą i u nas, dodawała nawet do tych informacyi komentarze, nieraz wcale bystre i oryginalne, częściej powszednie i płytkie, ale nie starała się wniknąć w głąb sprawy, wyjaśnić powstania, istoty i właściwego charakteru syonizmu, określić jego dążeń i zadań, a następnie zrozumieć stosunku tego znamiennego objawu w życiu żydowskiem do naszego życia narodowego, do naszych spraw i interesów.

Zadawalnialiśmy się w tej sprawie, jak w wielu innych, powtarzaniem komunałów i stosowaniem starych szablonów do nowego zjawiska, które się w nich zmieścić nie mogło.

Dopiero gdy zajrzało nam w oczy niebezpieczeństwo realne, gdy kokietowanie rządu z syonistami stało się widocznem w zaborze rosyjskim, a w Galicyi zarysowała się możliwość sojuszu ich z centralizmem niemieckim i odśrodkowemi dążeniami poli-

tyki ruskiej, wówczas dopiero zwróciliśmy uwagę na ten ruch, który oddawna się szerzył zarówno w masie pospólstwa żydowskiego, jak wśród inteligencyi żydowskiej w naszym kraju.

Rzecz jasna, że nie może być mowy o rozstrzyganiu doraźnem w jednym artykule lub nawet w szeregu artykułów tej sprawy tak odrębnej i zawiłej, tak mało nam znanej a niedostatecznie zbadanej, tembardziej zaś o formułowaniu jakiegoś programu, któryby stanowczo i konkretnie określał stosunek naszego społeczeństwa i naszej polityki narodowej do syonizmu. To, co piszemy, jest tylko skromnym przyczynkiem do ustalenia genezy i zdania sobie sprawy z istoty ruchu syonistycznego i jego rysów znamiennych.

Pierwszy chronologicznie i bodaj jedyny, głębiej w istotę ruchu syonistycznego sięgający artykuł A. Nossiga, zamieszczony kilkanaście lat temu w lwowskim *Przeglądzie społecznym*, rzuca wprawdzie pewne światło na genezę syonizmu, ale jej nie wyjaśnia. Ten syonizm, idealny i doktrynerski, o którym młody wówczas autor trochę po doktrynersku pisał, niewiele ma wspólnego z tym ruchem realnym polityczno-społecznym, który dziś pod nazwą syonizmu występuje.

Geneza tego ruchu jest, naszem zdaniem, nawet przez syonistów, przynajmniej tych, których poglądy znamy, fałszywie przedstawiana. Powszechnie zaś w syonizmie widzi się reakcyę przeciw antysemityzmowi, przyczem zazwyczaj, zwłaszcza w pismach wyrażających opinię żydów zasymilizowanych, nie uwzględnia się wcale przyczyn powstania antysemityzmu, albo załatwia się z tą sprawą wprost śmiesznym komunałem, że antysemityzm jest wynikiem rozpanoszenia się wstecznictwa, że «wyrósł z idei ekskluzywizmu i nietolerancyi». Ale wtedy zjawia się nowe pytanie: dlaczego rozpanoszyło się wstecznictwo? na jakim gruncie zrodziły się te ideje, z których następnie wyrósł antysemityzm? Idąc tą drogą wstecz, doszlibyśmy do jakiegoś mniej więcej ustalonego punktu, od którego moglibyśmy wrócić z góry na dół. Moglibyśmy mieć tym sposobem dwie trochę różne w pewnych punktach wersye genealogiczne, ale gdyby nawet były zupełnie zgodne, dawałyby nam tylko porządek następstwa zjawisk, nie tłomacząc wcale ich istoty, nie wykazując przyczyn ich powstania. To jest kronikarskie, formalistyczno-papierowe, jeżeli tak powiedzieć można, traktowanie rzeczy, ale nie publicystyczne.

Bardzo znamienna właśnie jest polemika, prowadzona świeżo na szpaltach warszawskiej *Gazety polskiej*. Pan N., jeden z wybitnych przedstawicieli spolszczonej inteligencyi żydowskiej, tłomaczy powstanie prądu syonistycznego u nas. Asymilacya według niego robiła znakomite postępy: «język krajowy zyskał rozległe rozpowszechnienie, nabożeństwa i obrzędy religijne przybrały bardziej kulturalne i estetyczne formy, a jednoczesne usiłowania zwrócenia ludności żydowskiej do pracy produkcyjnej w różnych kierunkach natrafiły na grunt bardzo podatny, i poczęły przynosić nader pocieszające rezultaty. Szkoły publiczne w kraju przepełnione były żądną oświaty młodzieżą żydowską, której liczne zastępy z każdym rokiem powiększały szeregi uspołecznionych żydów. Niestety jednak, warunki przyjazne ustąpiły miejsca wkrótce nader niesprzyjającym. Jednym z bardzo silnych współczynników zwrotu na gorsze stały się idee ekskluzywizmu i nietolerencyi, z których wyrósł antysemityzm. Znaczne odłamy społeczeństwa, niepomne wskazań miłości bliźniego, poczęły często, nawet bardzo brutalnie odtrącać i odpychać od siebie garnące się do asymilacyi żywioły. Szerzono roznamiętnienie i rozjątrzenie...» Nie zmieniło się usposobienie inteligencyi zasymilowanej, ale wrogie usposobienie społeczeństwa polskiego wytrąciło jej z ręki broń, którą się posługiwała, bo społecznie niedojrzałe masy nie chciały się łączyć z ogółem, który je odpychał. Na domiar złego liczne odstępstwa spolszczonych żydów od wiary ojców nieprzychylnie usposobiły te masy do asymilacyi. «Wtedy też, jako reakcya przeciw prądom antysemickim, jako ruch, zresztą wyrosły z tego samego pnia ultranacyonalizmu, obudził się syonizm, szukający ratunku przeciw upośledzeniom i prześladowaniom w ścisłem zespoleniu się wszystkich żydów, a zarazem łudzący się fantasmagoryą wskrzeszenia bytu państwowego w Palestynie. Chociaż hasło to jest błędne, rozkładowe, trudno jednak się dziwić, że pociągało ono, obok może nawet rozmyślnych wichrzycieli, liczną rzeszę żydów, boleśnie odczuwających odtrącenie przez społeczeństwo, wśród którego żyją od wieków.»

W tym klasycznym swoją naiwnością i szablonowością wywodzie — dlatego właśnie mu tyle miejsca poświęcamy — jedno tylko jest prawdą. Antysemityzm i syonizm wyrosły z jednego pnia, mówiąc dokładniej — z tej samej kategoryi faktów życiowych. Ale o tem później.

Redakcya *Gazety polskiej*, w odpowiedzi na list p. N., słusznie zaznacza, że «syonizm jest samoistnym wytworem myśli żydowskiej», zmodernizował on tylko odwieczny ideał żydów i «nasunął tę formę myśli, która pozwala nawet żydom nieprawowiernym zaznaczać swą solidarność rasową i gospodarczą z masami żydowstwa. Pierwsi syoniści istotnie zasłaniali się antysemityzmem, ale był to tylko argument polemiczny».

Rozszerzenie się antysemityzmu może poniekąd objaśnić powodzenie propagandy syonistycznej wśród inteligencyi żydowskiej, ale nie w masie żydowstwa. Taki antysemityzm, z jakim ta masa bezpośrednio się spotyka, zawsze istniał w społeczeństwie naszem nawet w epoce najbujniejszego rozkwitu dążeń asymilacyjnych. Syonizm jednak nie ogranicza się sferą inteligentną, przeciwnie, ogarnia on ciemne masy pospólstwa żydowskiego, jest ruchem masowym, ludowym. Inteligencya, która w tym ruchu udział bierze, nie kieruje się dążeniem do poprawy losu tłumów żydowskich, lecz, jak mówi *Gazeta polska*, chce dać wyraz instynktowi rasy, wołającemu o zaciśnięcie węzłów z masą żydowstwa.

To objaśnienie zjawiska nie jest jeszcze dokładne, wymaga uzupełnień i wyjaśnień, ale zbliża się do prawdy.

Mówi się dużo o bankructwie dążeń asymilacyjnych zarówno wśród inteligencyi polskiej, jak wśród polsko-żydowskiej, na jedną wszakże stronę tego zjawiska, o ile wiemy, nie zwrócono dotychczas uwagi. Bankructwo asymilacyi nastąpić musiało z chwilą, gdy przybierać ona zaczęła szersze rozmiary, gdy szkoły publiczne przepełniła «żądna oświaty młodzież żydowska». Bo to nieprawda, co mówi p. N., że z tej młodzieży wyrastały zastępy «uspołecznionych żydów». Raczej zgodzić się trzeba z *Gazetą polską*, że między t. zw. kulturalnymi żydami było wielu przebranych chałaciarzy, którzy przyjęli zewnętrzny pozór kultury, zachowując wszystkie wady i wszystkie specyficzne, złe czy dobre, ale obce społeczeństwu polskiemu właściwości swej rasy.

Pierwsze zastępy zasymilowanych żydów, nieliczne zresztą, rekrutowały się w ogromnej większości z rodzin, które już miały ogładę towarzyską i pewną tradycyę kulturalną, a czasem nawet patryotyczną polską. Można powiedzieć, że te rodziny w ciągu kilku pokoleń przystosowywały się do otoczenia polskiego, asymilacya więc ostateczna odbyła się wcale gładko.

Ale z biegiem czasu, właśnie dla tego, co p. N. tak cieszy, do społeczeństwa polskiego wchodzić zaczęli coraz liczniej żydzi, pochodzący przeważnie z tej tak licznej dziś we wszystkich społeczeństwach sfery, którą warunki współczesnego życia nad gmin pracujący i ciemny wynoszą, ale która nie ma żadnej kultury, żadnej tradycyi obyczajowej i etycznej. Oslawieni kantorzyści warszawscy są typowymi przedstawicielami tej sfery pośredniej. Nie ciemne masy, ale ta sfera zaczęła, pozornie zresztą, asymilować się, przybierając strój europejski i język polski, zachowując wszystkie ujemne, a zatracając nieraz dodatnie właściwości społeczeństwa żydowskiego. Później dopiero i z ciemnego i ubogiego pospólstwa żydowskiego wychodzić zaczęły coraz liczniej jednostki, które zwiększały zastęp rzekomo zasymilowanych. Ten zastęp nie z każdem pokoleniem, bo to sprawa niemal jednego pokolenia — ale z każdym corocznym kontyngensem wchodzących do szkoły lub ze szkoły w życie, miał coraz mniej nabytych właściwości polskich a coraz więcej właściwości żydowskich.

Ci żydzi coraz tłumniej, a więc coraz śmielej wchodzili w nasze życie, nawet bezczelnie wciskali się przebojem, wnosząc w nie wszystkie znamienne rysy swej umysłowości, swej odrębnej etyki i obyczajowości. Inteligencyi polskiej w zaborze rosyjskim, zwłaszcza w Warszawie groziło zupełne zżydzenie. Już kilka lat temu przewidujące umysły zastanawiały się nad niebezpieczeństwem rozłamu naszego społeczeństwa na lud rdzennie polski i polsko-żydowską inteligencyę.

Ubocznie zaledwie potrącamy stronę ekonomiczną sprawy, bo ona tylko pośrednio łączy się z zagadnieniem, które poruszam. Nie można jednak zbyć jej milczeniem, bo rola zasymilowanych żydów w naszych stosunkach społecznych i ekonomicznych nie była wcale tak sielankową i niewinną, jak p. N. przedstawia, zwłaszcza gdy idzie o tych zasymilowanych z późniejszych kontyngensów, którzy zachowali ścisłą łączność z masą żydowstwa. Napływali oni do wszystkich zawodów, zajmowali wszystkie stanowiska, jakie tylko prawo zająć im pozwalało, a w walce konkurencyjnej, która jest tłem współczesnego życia, górowali nad żywiołem polskim swoją wiekową rutyną, swoją odrębną a niższą etyką. Jednocześnie proces asymilacyi nie wpłynął wcale na masy żydowskie, które coraz bardziej obniżały poziom etyczny i ekonomiczny naszego życia. «Ich tryb

życia — jak mówi *Gazeta polska* — sposoby zarobkowania, ich metody traktowania różnych spraw ekonomicznych, społecznych, etycznych, pozostawały zawsze bez zmiany i w wielu razach miały cechy, dla społeczeństwa chrześciańskiego ujemne. Lichwa, szynkarstwo, paserstwo, koniokradztwo, handlarstwo żywym towarem koncentrowały się w ich rękach. Monopol handlu trzymali zazdrośnie i bronili go świadomie a bez skrupułów». Jest to tylko cząstka tego, co powiedzieć można o ujemnym wpływie działalności ekonomicznej żydów.

Rzecz jasna, że to wszystko musiało wreszcie wywołać reakcyę, tem bardziej, że w społeczeństwie polskiem odbywał się jednocześnie proces wielkiej doniosłości. Wskutek głęboko sięgających zmian w stosunkach politycznych i ekonomicznych oraz postępu oświaty społeczeństwo polskie zaczęło się przeobrażać, zmieniać swój układ wewnętrzny. To przeobrażanie się odbywało się oddawna, ale dopiero w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku przybrało większe rozmiary i stało się procesem żywiołowym, który można określić jednym wyrazem: demokratyzacya. Nie chodzi tu, rzecz jasna, o prawno polityczną, ani o ideową stronę procesu, ale o stronę faktyczną, mianowicie o ten fakt, że w życiu narodu, społecznem, ekonomicznem a nawet umysłowem zaczynają brać stopniowo coraz liczniejszy udział przedstawiciele coraz szerszych i coraz niższych, właściwie powiedzieć by należało, coraz głębszych i rdzenniejszych warstw ludności. W tych warstwach, na które cywilizacya, z natury swej kosmopolityczna, bardzo słabo oddziaływała, przejawia się najżywiej i ostro zaznacza odrębna indywidualność, czyli, co jest niemal równoznacznem, wyłączność narodowa, ze wszystkiemi swemi właściwościami, przyrodzonemi lub tradycyjnie utrwalonemi.

Podobne przeobrażenie odbywało się nietylko w naszem, ale i w innych społeczeństwach europejskich i niemal równocześnie w drugiej połowie, przeważnie zaś w ostatniej ćwierci ubiegłego wieku. W społeczeństwach silnych, żyjących życiem samodzielnem, panujących, wyodrębnianie się wskutek demokratyzowania się ich indywidualności narodowych wyrażało się w dążeniu do wchłaniania i asymilowania obcych pierwiastków lub usuwania i wykluczania zbyt opornych; w społeczeństwach zaś słabych, zależnych, niesamodzielnych — w uporczywem zachowywaniu swych właściwości znamiennych, w ścisłem odgradzaniu się od

żywiołów obcych, w coraz intensywniejszem skupianiu się koło tradycyi historycznych, plemiennych lub wyznaniowych.

Na tem tle społecznem i psychologicznem rozpatrywać trzeba, jak sądzę, przyczyny powstania syonizmu. Fakt demokratyzacyi społeczeństw współczesnych nie na podstawie filiacyi ideowej prądów społecznych i umysłowych, ale na realnej podstawie zależności ich od przeobrażeń w życiu, tłómaczy nam takie zjawiska, które p. N. chrzci mianem «ekskluzywizmu», jak nacyonalizm i nawet szowinizm narodowy, wzrost wyłączności wyznaniowej, antysemityzm, wreszcie syonizm i wiele innych. Tak, i syonizm, bo społeczeństwo żydowskie, tworzące w społeczeństwach innych organizacyę odrębną, przechodziło wraz z niemi te same przeobrażenia.

Silniejsze, chociaż z początku bezwiedne budzenie się indywidualizmu narodowego w społeczeństwach, wśród których żyją żydzi, musiało przyśpieszać i rozszerzać proces ich asymilacyi. I gdzieindziej, i u nas zwłaszcza coraz liczniejsze zastępy żydów przyjmowały powierzchownie kulturę narodową, zdobywały wiedzę fachową i stanowiska społeczne. Im liczniejszymi stawały się te zastępy, tem powierzchowniejszą być musiała ich asymilacya, tem wyraźniej i brutalniej zaznaczały się w ich zachowaniu się i działalności właściwości odrębne. Nietylko, jak już powiedziałem, coraz mniej byli Polakami, a coraz więcej żydami, ale i coraz więcej wyraźniejszymi, coraz bardziej typowymi żydami, im głębiej sięgała oświata zewnętrzna w masy, które od wieków skrystalizowały się w swej odrębności religijnej, rasowej i społecznej.

Chociażby nie było wcale antysemityzmu, tacy pozornie zasymilowani prędzej czy później poczuć się musieli żydami. Antysemityzm tylko przyśpieszył to uświadomienie w szeregach zewnętrznie zasymilowanej inteligencyi żydowskiej. Związek jej ze społeczeństwami chrześcijańskiemi był bardzo wątłym, czysto formalnym, natomiast z masą żydowską łączyło ją bardzo ścisłe pokrewieństwo pojęć, instynktów, upodobań. Zresztą swymi stosunkami rodzinnymi i majątkowymi lub zarobkowymi ta inteligencya tkwiła bardzo głęboko w masie żydowstwa, tak odrębnej od społeczeństw chrześciańskich.

W tej masie było zawsze bardzo silne to dążenie, które stanowi istotę syonizmu, dążenie do wzmocnienia i zaznaczenia

swej indywidualności «wybranej», przeznaczonej do panowania nad całym światem.

Syonizm można byłoby nazwać nacyonalizmem żydowskim, gdyby społeczność żydowska tworzyła istotnie organizm narodowy. Ale takim organizmem ona nie jest i nigdy właściwie nie była, co następnie bliżej wyjaśnimy. Tu zaś zaznaczymy, że właśnie dlatego określenie istoty syonizmu jest zadaniem dosyć trudnem, nie można bowiem znaleźć analogicznych przykładów, skoro nie jest on ruchem narodowym, ani ruchem religijnym lub społecznym w zwykłem znaczeniu tych wyrazów.

J. L. Popławski.

IDEA POLSKI NIEPAŃSTWOWEJ W LITERATURZE I W ŻYCIU.

II.

Jak w przyrodzie żadna część kuli ziemskiej nie posiada swoich własnych praw fizycznych, chociaż każda posiada swoją mniej więcej wyraźną fizyognomię, tak samo żaden naród, przy całej swej indywidualności duchowej, nie podlega wyjątkowym prawom socyologicznym. Nie można oczekiwać, aby naród dźwigał się i kwitnął dzięki ignorowaniu tego, co stanowi siłę narodów innych. Tymczasem w usiłowaniach stworzenia kultu Polski niepaństwowej dopuszczano się wciąż traktowania narodu naszego w sposób wyjątkowy, niewiele odbiegający od maksymy, przekazanej nam z doby rozkładu: «Polska nierządem stoi».

Każda epoka historyi ludów cywilizowanych ma swoje potrzeby, a stąd swoje prądy umysłowe, polityczne i społeczne: im więcej naród pewien potrafi sprostać zadaniom epoki, tem wydatniejsze zajmuje stanowisko w szeregu ludów. Istnieje więc dla narodów punkt widzenia «wszechludzki», tylko nie w tem znaczeniu, jakie słowu temu nadaje zmartwychwstała metafizyka XVIII-go wieku. Można oceniać politykę pewnego narodu ze stanowiska najpowszechniejszych tendencyi, najogólniejszych form bytowania politycznego, które panują w danej epoce — i to może się nazywać stanowiskiem wszechludzkiem, jakkolwiek wyraz ten często oznacza zapatrywanie na ustroje polityczne z punktu widzenia abstrakcyjnego, z punktu widzenia jednostki,

stojącej po za jakimkolwiek narodem lub konkretną grupą społeczną.

Obecna doba rozwoju narodowości odznacza się wybitną tendencyą państwową: narody wielkie i silne chcą państwo swe umocnić i rozszerzyć, słabe znaleźć jakiego protektora, któryby im użyczył potęgi, wreszcie drobne a żywotne narodowości, jak Czesi, nie mając widoków na uzyskanie własnego niezależnego państwa, gorliwie i energicznie pracują nad tem, aby państwu, z którem połączyły ich dzieje, nadać postać, jak najbardziej korzystną dla siebie, i jak największą sumę władzy i atrybucyi państwowych skupić w swych rękach. Dzisiaj mniej, niż kiedykolwiek, narodowość żywotna rozwijać się może pod tarczą państwa obcego, bo ono samo obejmuje coraz szerszy zakres funkcyi na mocy tendencyi bardzo silnych i bardzo ogólnych, które na obu kontynentach wyraźnie się ujawniają. Weźmy naprzykład dziedzinę środków komunikacyjnych: przed stu laty, przy pierwotnych środkach technicznych, stosunek ich do państwa był innym zupełnie, niż obecnie, gdy koleje i telegrafy albo bezpośrednio stanowią własność państwową, albo ulegają ścisłej reglamentacyi państwowej. Charakterystyczny przykład powyższy można uzupełnić szeregiem innych: we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego wzrasta komplikacya i zależność od siebie ugrupowań, asocyacyi, związków społecznych i bezpośrednia lub pośrednia reglamentacya ich ze strony państwa. Niedawno rząd rosyjski wprowadził monopol wódczany, dzięki czemu cała grupa ludzi niezależnych od rządu straciła zajęcie na korzyść bezpośrednich urzędników albo najemników rządowych, którzy obsługują nowe instytucye.

Ciągłe rozszerzanie sfery władzy państwowej najlepiej ocenimy, przeglądając w szeregu lat budżety europejskie, których wzrost odpowiada nie przyrostowi ludności, lecz rozszerzaniu się zakresu działalności państwa.

Im więcej pobiera państwo, tem więcej obowiązane jest oddawać wzamian obywatelom w formie instytucyi pożytku publicznego, i tu właśnie okazuje się różnica między własnem państwem a obcem, zaborczem, które potrzeby kulturalne narodu ujarzmionego zadawalnia skąpo, a narodowe całkiem ignoruje albo zwalcza przy pomocy funduszów ogólno-państwowych, a więc płynących z kieszeni uciskanych.

Nietylko wzrosło znaczenie państwa i zakres zadań jego

powiększył się niezmiernie, ale i patryotyzm przybrał charakter wybitnie państwowy; same nawet walki ekonomiczne coraz częściej rozegrywają się na tle narodowem. Jest to prąd powszechny w całej Europie. Niemniej jednak pouczający widok dają nam te młode społeczeństwa Ameryki północnej i Australii, w których chciano widzieć do niedawna antytezę starego europejskiego ustroju politycznego, militarnego, zaborczego i t. d. Jeszcze niedawno wskazywano Stany Zjednoczone, Australię, Nową Zelandyę, jako nowe, wolne od smutnego dziedzictwa państwowego ludów europejskich społeczeństwa demokratyczne, w których najzupełniej wcielić się powinny hasła antypaństwowe europejskich partyi postępowych. Ale historya ma swoją własną logikę, która nie jest ani postępową, ani zachowawczą. Stany Zjednoczone ujawniły w miarę dojrzewania tendencye państwowo-ekspansywne i zbliżyły się do typu starych państw europejskich; zmiana ta zarysowała się już dzisiaj dosyć wyraźnie, a przyszłość niezawodnie popchnie je dalej w tym kierunku. Australia i Nowa Zelandya nabrały w czasach ostatnich wielu cech państw europejskich; zjawił się w tych ustrojach czysto-demokratycznych i «szowinizm», t. j. dbałość o interes całości nazewnątrz, i czujność wobec niepożądanej imigracyi, tak przeciwna zasadom i ideałom «wszechludzkim». Różnica między państwami europejskiemi a ustrojami Nowego Świata stawała się coraz mniejszą w późniejszej fazie ich rozwoju. Państwo tam tworzyło się, że się tak wyrazimy, od dołu, a więc w sposób zupełnie przeciwny, niż w Europie, zresztą funkcye państwowe nazewnątrz pełniła tam metropolia europejska. Stąd powstała różnica, która zmniejszała się w następstwie. Ze zdumieniem widzimy, że twórczość ludzka w dziedzinie architektury polityczno-społecznej trudniejszą jest i więcej ograniczoną, niż o tem sądzono z góry. Do wniosku tego dojść należy bez względu, czy ewolucyę tę przypiszemy wewnętrznej konieczności, tkwiącej pierwiastkowo w tych młodocianych ustrojach, czy też oddziaływaniu państw europejskich i konieczności przystosowania się do nich. We wszystkich tych społeczeństwach zjawia się narodowość panująca z językiem państwowym, patryotyzm albo lokalny, albo szerszy, nawet militaryzm zastosowany do potrzeb. Stany Zjednoczone są już dzisiaj potęgą militarną morską, a tylko swojemu wyjątkowemu stanowisku geograficznemu zawdzięczają możność pozostawienia na nieznacznym poziomie swych sił lądowych.

Z różnemi uczuciami przyjmować można fakt, że nowoczesny rozwój polityczny postępuje w tak wązkich ramach i skąpo nadzwyczaj stwarza objawy zasadniczo nowe; można się radować albo ubolewać nad tem ubóstwem form politycznych, ale przedewszystkiem uznać należy ten fakt za niewątpliwy. Państwo w obecnej fazie rozwoju jest instytucyą powszechną, jaknajściślej związaną z zagadnieniem narodowości i z nowoczesnemi zadaniami społecznemi. Uznanie tego faktu zmusza nas do wniosku, że twórczość i umiejętność narodu w sferze państwowo-politycznej jest co najmniej tak ważna, jak działalność na polu nauki, literatury i sztuki. Ustrój parlamentaryzmu angielskiego, który był wzorem dla całej Europy, jest dziełem chyba ważniejszem, niż pomniki architektury, które wsławiły swoich twórców. Na punkt ten tem silniejszy wypada położyć nacisk, że umysłowość nasza, zwłaszcza w Warszawie, przy stosowując się do ciążących kajdan, skłonna jest w kulturze upatrywać wszystko prócz wytwarzania form politycznych i społecznych, które stanowią najważniejszą jej dziedzinę.

Zresztą i dziedziny pozornie niezależne od państwa, okazują się związanemi z niem, jeżeli spojrzymy na rzecz głębiej. Państwo pragnie powiększać ilość obywateli swojej narodowości, tem samem zaś powiększać liczbę pracowników na niwie kultury; ilość ludzi, mówiących danym językiem, stanowi o liczbie spożywców literatury tegoż języka niezależnie od wartości wewnętrznej odpowiednich utworów. Dlatego to państwo potężne oraz narody liczebne i bogate wznoszą gmach swojej kultury nietylko swojemi rękami, ale również rękami zdolnych jednostek, wyłowionych z tych narodów, które nie mają dla nich należytego warsztatu pracy. Dziesiątki uczonych z krajów ubogich i politycznie upośledzonych pracują dla kultury obcej, gdyż w kraju swoim nie znajdują ani pracowni odpowiednich, ani środków utrzymania. To samo odnosi się do całego szeregu innych pracowników. W ten sposób obok wyzysku ekonomicznego i politycznego odbywa się na narodach słabszych i pozbawionych państwa wyzysk antropologiczny, t. j. korzystanie z ich uzdolnień na rzecz uprzywilejowanego politycznie narodu.

Niemcy, a więcej jeszcze Rosya ciągną wielkie zyski z pracy naszych talentów w różnych dziedzinach. Wspominaliśmy poprzednio o poslannictwie jakoby naszem, mającem na celu cywilizowanie Rosyi i oddanie w ten sposób wielkiej usługi jej

samej i całej cywilizacyi europejskiej, której grozi ten barbarzyński kolos. Znaczy to, że chcemy uzdolnienia swoje oddać do rozporządzenia państwu rosyjskiemu; nie my bowiem, ale ono decydować będzie, jaki z nich zrobić użytek. Naiwną mrzonką jest nadzieja, że wpływem swoim obalimy państwową ideę rosyjską; ona będzie siłą czynną i potrafi nas zaprządz do takiej pracy, jaka jej będzie potrzebna. W Rosyi umiano użyć organizacyjno-politycznych talentów Niemców nadbałtyckich i kazać im poruszać koła polityki zagranicznej rosyjskiej: za czasów Mikołaja I wszystkie prawie stanowiska dyplomatyczne obsadzone były albo przez Niemców kurlandzkich i inflanckich, albo przez zagranicznych kondotyerów, a jednak polityka caratu pozostawała czysto rosyjską.

Za dni naszych rząd wyciąga korzyść z żywiołu, który uznaje za szkodliwy dla państwa i któremu zamyka dostęp do właściwej Rosyi: prześladowani i pogardzani żydzi pracują w Kraju Zabranym dla państwowości rosyjskiej. Polacy w Rosyi pośrednio lub bezpośrednio skazani są na przysparzanie sił wrogiemu sobie państwu i robią to z wolą, czy mimo woli. Znane są prace naszych wygnańców nad fizyografią Syberyi. Podniosły one zagranicą sławę rosyjskiej nauki, a więc do pewnego stopnia poszły na korzyść Rosyi, z drugiej zaś strony pomogły jej w znacznej mierze do kulturalnego podboju azyatyckich obszarów. Z sił naukowych, jak z wszelkich innych, potrafi rząd zrobić właściwy użytek: w tak wielkim mechanizmie znajdzie się miejsce na wszystko, bo potrzeby muszą być rozmaite; w różnych gałęziach służby państwowej istnieje zapotrzebowanie na ludzi uczciwych i zdolnych — tem lepiej dla rządu, jeżeli kraje podbite dostarczą odpowiedniego zastępu takich pracowników.

Przeciwstawiając zadaniom państwowym i społecznym działalność kulturalną, zapominamy, jak dalece wiążą się one w jeden całokształt dorobku narodowego. Jeszcze niedawno można było wskazywać na Królestwo, jako na kraj, gdzie mimo braku pomocy państwa i wbrew niemu kwitnie literatura, nauka i sztuka polska. Dzisiaj jednak widoczne jest obniżenie we wszystkich tych dziedzinach twórczości nietylko z braku najelementarniejszych warunków, tak niezbędnych do bujniejszego życia duchowego, jak światło dla życia fizycznego, lecz dlatego jeszcze, że dzięki celowej polityce rządu wciąż ubywa miejsc

i środków utrzymania dla naszej inteligencyi. Oddawna uczeni nasi nie otrzymują katedr, nie mają swoich laboratoryów i pracowni; niedawno jeszcze koleje i inne instytucye prywatne dawały punkt oparcia naszym pracownikom naukowym — wiadomo jednak, że koleje przechodzą w ręce rządu, który usuwa z nich Polaków, co się zaś tyczy instytucyi prywatnych, to i nad niemi cięży ręka rządu, który narzuca im swoich kandydatów na naczelne i lepiej płatne stanowiska. Jest to ważny czynnik, zubażający nasze życie duchowe, z którym współdziałają inne, a rezultatem ich jest niewątliwy upadek naszej wydajności umysłowej w Królestwie. Mówimy i piszemy często, że eksterminacyjna działalność ze strony Rosyi i Prus nie zniszczy naszego narodu, który na różnych polach składa świadectwa swojej żywotności. Jeżeli tem powiedzieć chcemy, że w warunkach takich, jak obecne, rozwijać możemy w pełni i wzbogacać naszą kulturę narodową, ograniczając się do biernego odpierania zamachów na nią, to jesteśmy w błędzie. W pierwszej połowie naszego wieku Poznań był ośrodkiem kulturalnym, z którego na trzy zabory rozchodziły się promienie myśli. Dzisiaj w Poznańskiem panuje zupełny zastój umysłowy, na który częstokroć w samym Poznaniu słyszymy skargi. Mówi się często, że widocznie warunki polityczne nie mają tak wielkiego znaczenia dla kultury narodu, skoro Królestwo wyżej stoi pod tym względem od Galicyi, mimo autonomii polskiej, z której korzysta ostatnia dzielnica. Właśnie na tym przykładzie sprawdzić możemy słuszność twierdzenia naszego. Królestwo znajduje się w warunkach wzmożonej rusyfikacyjnej i eksterminacyjnej presyi dopiero od lat trzydziestu, bo nie zaczęła się ona zaraz po powstaniu. Przedtem było one w warunkach korzystniejszych, niż inne dzielnice, zwłaszcza zaś Galicya, która przez całe stulecie podlegała rabunkowemu i niszczycielskiemu systemowi austryackiej biurokracyi. Dopiero od lat trzydziestu Galicya otrzymała nie autonomię, jak się mówi, lecz przynajmniej jakie takie warunki polityczne do pracy na rzecz polskiej kultury. Jakkolwiek przez ten czas mało zrobiono, to przecież ten nakład pracy, włożony w kraj, dotychczas pod względem cywilizacyjnym wyjałowiony, zaczyna wydawać plon, który dzisiaj już dorównywa rezultatom pracy duchowej Królestwa z lat ostatnich. Ta zaś dzielnica, która posiada znaczny kapitał kulturalny, zebrany w latach dla pracy umysłowej przyjaźniejszych, stosunkowo do

swych sił społecznych niewiele przykłada do niego obecnie. Nie osłabia wniosku naszego ten fakt, że wielu zasłużonych pracowników w Galicyi pochodzi z zaboru rosyjskiego i pruskiego, dowodzi to właśnie, że nie znajdują już oni we własnej dzielnicy pola do zużytkowania swoich zdolności.

Dowodzi to, jak korzystną okazała się dla kulturalnej twórczości nawet ta niedostateczna podobizna autonomii, jaką posiada Galicya, dzielnica ta bowiem stoi znacznie niżej od Królestwa pod wszelkimi innymi względami, przedewszystkiem zaś pod względem liczby ludności, zamożności i rozwoju życia miejskiego.

Teorye abdykacyjne w rozmaitej formie podnosiły nasze wysokie etyczne stanowisko, które zdobywamy za cenę wyrzeczenia się swojego państwa. «Gdyby nie te wszystkie przypadki, jak mówią jedni — czytamy w rozprawie p. Dzieduszyckiego — te wszystkie zrządzenia Opatrzności, jak wierzą drudzy, byłaby się Polska niepodległa ostała, jako państwo nowożytne, posiadające konstytucyjny zapewne, ale silny, coraz silniejszy rząd; byłaby dziś mocarstwem, miałaby udział w politycznych matactwach świata, odnosiłaby może dyplomatyczne i orężne zwycięztwa». Cóż nam robić należy wobec utraty niezależności państwowej? «W literaturze i sztuce polskiej przemawia dusza narodowa wyraźnie; one całe zajęte Rzecząpospolitą, owem społeczeństwem, które własnego państwa niegdyś nie wytworzyło, ale w trzech obcych państwach żyje niepodzielne; a występuje w nich wyraźna, pełna tego świadomość, że powołaniem Polski jest orędownictwo moralności w życiu międzynarodowem i społecznem, wprowadzenie tej moralności w czyn, wprowadzenie zasad chrześcijańskich do dziejów» [1].

Myśl, wyrażona w powyższych dwóch ustępach, jest bardzo jeszcze popularna w naszem dzisiejszem społeczeństwie, a istoty jej nie zmienia to, że jedni wygłaszają ją w chrześcijańskiej formie ofiary z aspiracyi państwowych dla pielęgnowania w duszach ideału miłości bliźniego, gdy drudzy w pogardzie dla instytucyi państwowych oświadczają, że wolą stan dzisiejszy, niż własne państwo polskie, jeżeli ma ono posiadać organy przymusu i gwałtu, jak inne państwa dzisiejsze. Niemoc i jałowość zazwyczaj szczyci się nie tem, co robi, lecz tem raczej,

[1]) *Mesyanizm polski.*

czego nie robi, nie wdając się w głębszy rozbiór ani pobudek, ani skutków. Czyż mamy prawo z czystem sumieniem powiedzieć, że nie uczestniczymy obecnie w walkach państwowych i w grabieżach. Płacimy na utrzymanie armii rosyjskiej i niemieckiej — na utrzymanie austryackiej zaś nawet głosujemy — płacimy nietylko pieniędzmi, lecz krwią własną na wzmacnianie dwóch potęg nam wrogich. Ileż krwi polskiej kosztowało zdobycie Kaukazu i odebranie wolności bohaterskim góralom? Czyż Bartek Zwycięzca na polach Francyi nie budował dzisiejszego cesarstwa niemieckiego? Jeżeli ci i tamci walczyli bez woli i świadomości, to hordy kalmuków, tworzące znaczną część armii rosyjskiej, również były bez winy, wylewając się potokiem na Europę. Jeżeli z wyżyn historyozoficznych usiłujemy zrozumieć rolę dziejową narodu, nie możemy go rozgrzeszać w imię nieodpowiedzialności, bo odpowiadać on winien przed sądem historyi nawet za to, że nie jest wolnym i nieodpowiedzialnym. «Bierne poddawanie się gwałtowi jest pewnem wspólnictwem w akcie przemocy», mówi Ihering, i słuszność tych słów uzna każdy, kto nie upatruje wyżyn moralnych w «heroizmie niewoli».

Wszelka idealizacya negatywnej strony życia, t. j. powstrzymywania się od pewnych czynów dochodzi koniecznie do apoteozy słabości, bierności i wreszcie nieodpowiedzialności. Znużone, wzdychające do spokoju dusze radeby wyrwać lwom pazury i zęby, orłom dzioby i skrzydła, i w tak okaleczonym świecie poić swe oczy widokiem niezmąconego spokoju. Słabość upatruje pierwiastek egoizmu i przemocy w sile, a więc tryumf altruizmu w upadku siły, w obniżeniu samego tętna życiowego. Ale, jak silni mają występki swojego typu: przemoc, dumę, pogardę dla słabszych, tak i w sercach ostatnich wylęga się kłamstwo, zdrada, fałsz, pochlebstwo, które stanowią broń płazów. Robiąc rachunek sumienia narodowego, winniśmy baczyć, czy, wyrzekając się drapieżności lwów, nie pielęgnujemy nikczemności gadów.

Społeczeństwo nasze, nie posiadając swojego państwa, cierpi na brak organu, bez którego ono samo jest okaleczone. Tem więcej jest wprawdzie warte społeczeństwo, im mniej opiera się na państwie, ale najdojrzalszym nawet, najbardziej zaprawionym w samorządzie ludom nie wystarcza samorzutna działalność społeczna; każdy z nich bardzo wiele pozostawia przymusowej organizacyi państwowej, która daje społeczeństwu cement, nie-

zbędny do funkcyonowania i zbiorowego działania. W warunkach więc naszych samo społeczeństwo podlegać musi dezorganizacyi i poczucie łączności jednostki z całością nie może się należycie wykształcić. A poczucie to ma znaczenie niesłychane dla rozwoju prawdziwej moralności czynnej. Znany jest powszechnie fakt, że w chwilach wzmocnionego tętna narodowego, gdy myśl jedna ogarniała społeczeństwo, poziom moralny nagle podnosił się, pociągając za sobą mocą pędu ogólnego nawet jednostki liche. Tej potężnej dźwigni moralnej brakuje nam dzisiaj, a o znaczeniu jej przypominamy sobie, ilekroć zdarza się nam słyszeć o licznych niestety Polakach, rozproszonych po Europie i po Rosyi, którzy bynajmniej nie spełniają misyi świecenia przykładem innym ludom. Dla nas fakt ten ma przedewszystkiem przyczynę w tem, że żyją oni po za swojem społeczeństwem, a z obcem także się nie zrośli, nie posiadają więc tej potężnej podstawy, jaką daje związek społeczny. To służy za miarę, do czego doszlibyśmy w oczach innych ludów, wyrzekając się roli narodu terytoryalnego, a starając się tylko zachować narodowość swoją «jako jednostki».

Jednym z największych błędów jest rozważanie zapatrywań społecznych, historycznych, politycznych i nawet filozoficznych, jako wytworów myśli oderwanej, w tej bowiem pracy, pozornie tylko umysłowej, odbija się duch społeczeństwa ze swojemi aspiracyami, nadziejami, ze swoją wiarą lub brakiem wiary. W dziedzinie moralnej — bierzemy ten wyraz w możliwie szerokiem znaczeniu — częstokroć łatwiej jest umysłowi znaleźć prawdę, niż charakterowi uznać już znalezioną. W starożytności więcej, niż dzisiaj, rozumiano, że mędrzec poszukujący prawd życiowych musi być nietylko mężem wielkiego umysłu, ale przedewszystkiem silnego ducha, zdolnym patrzeć prosto w surowe oblicze prawdy.

Historya postawiła nas przed dylematem albo wywalczenia niepodległości całkowitej czy choćby częściowej, albo zrezygnowania nietylko z państwa własnego, ale w dalszej przyszłości z kultury i życia narodowego. I przykład narodów innych, i losy własne pouczyć nas powinny, iż utopią jest oczekiwać, że bez odpowiednich warunków politycznych nasze życie narodowe będzie się mogło rozwijać, nie zaś wegetować i karleć z biegiem czasu. Stwierdzenie tej prawdy obowiązuje naród do walki, do ofiar choćby najcięższych, bo chodzi o całą jego przy-

czego nie robi, nie wdając się w głębszy rozbiór ani pobudek, ani skutków. Czyż mamy prawo z czystem sumieniem powiedzieć, że nie uczestniczymy obecnie w walkach państwowych i w grabieżach. Płacimy na utrzymanie armii rosyjskiej i niemieckiej — na utrzymanie austryackiej zaś nawet głosujemy — płacimy nietylko pieniędzmi, lecz krwią własną na wzmacnianie dwóch potęg nam wrogich. Ileż krwi polskiej kosztowało zdobycie Kaukazu i odebranie wolności bohaterskim góralom? Czyż Bartek Zwycięzca na polach Francyi nie budował dzisiejszego cesarstwa niemieckiego? Jeżeli ci i tamci walczyli bez woli i świadomości, to hordy kałmuków, tworzące znaczną część armii rosyjskiej, również były bez winy, wylewając się potokiem na Europę. Jeżeli z wyżyn historyozoficznych usiłujemy zrozumieć rolę dziejową narodu, nie możemy go rozgrzeszać w imię nieodpowiedzialności, bo odpowiadać on winien przed sądem historyi nawet za to, że nie jest wolnym i nieodpowiedzialnym. «Bierne poddawanie się gwałtowi jest pewnem wspólnictwem w akcie przemocy», mówi Ihering, i słuszność tych słów uzna każdy, kto nie upatruje wyżyn moralnych w «heroizmie niewoli».

Wszelka idealizacya negatywnej strony życia, t. j. powstrzymywania się od pewnych czynów dochodzi koniecznie do apoteozy słabości, bierności i wreszcie nieodpowiedzialności. Znużone, wzdychające do spokoju dusze radeby wyrwać lwom pazury i zęby, orłom dzioby i skrzydła, i w tak okaleczonym świecie poić swe oczy widokiem niezmąconego spokoju. Słabość upatruje pierwiastek egoizmu i przemocy w sile, a więc tryumf altruizmu w upadku siły, w obniżeniu samego tętna życiowego. Ale, jak silni mają występki swojego typu: przemoc, dumę, pogardę dla słabszych, tak i w sercach ostatnich wylęga się kłamstwo, zdrada, fałsz, pochlebstwo, które stanowią broń płazów. Robiąc rachunek sumienia narodowego, winniśmy baczyć, czy, wyrzekając się drapieżności lwów, nie pielęgnujemy nikczemności gadów.

Społeczeństwo nasze, nie posiadając swojego państwa, cierpi na brak organu, bez którego ono samo jest okaleczone. Tem więcej jest wprawdzie warte społeczeństwo, im mniej opiera się na państwie, ale najdojrzalszym nawet, najbardziej zaprawionym w samorządzie ludom nie wystarcza samorzutna działalność społeczna; każdy z nich bardzo wiele pozostawia przymusowej organizacyi państwowej, która daje społeczeństwu cement, nie-

zbędny do funkcyonowania i zbiorowego działania. W warunkach więc naszych samo społeczeństwo podlegać musi dezorganizacyi i poczucie łączności jednostki z całością nie może się należycie wykształcić. A poczucie to ma znaczenie niesłychane dla rozwoju prawdziwej moralności czynnej. Znany jest powszechnie fakt, że w chwilach wzmocnionego tętna narodowego, gdy myśl jedna ogarniała społeczeństwo, poziom moralny nagle podnosił się, pociągając za sobą mocą pędu ogólnego nawet jednostki liche. Tej potężnej dźwigni moralnej brakuje nam dzisiaj, a o znaczeniu jej przypominamy sobie, ilekroć zdarza się nam słyszeć o licznych niestety Polakach, rozproszonych po Europie i po Rosyi, którzy bynajmniej nie spełniają misyi świecenia przykładem innym ludom. Dla nas fakt ten ma przedewszystkiem przyczynę w tem, że żyją oni po za swojem społeczeństwem, a z obcem także się nie zrośli, nie posiadają więc tej potężnej podstawy, jaką daje związek społeczny. To służy za miarę, do czego doszlibyśmy w oczach innych ludów, wyrzekając się roli narodu terytoryalnego, a starając się tylko zachować narodowość swoją «jako jednostki».

Jednym z największych błędów jest rozważanie zapatrywań społecznych, historycznych, politycznych i nawet filozoficznych, jako wytworów myśli oderwanej, w tej bowiem pracy, pozornie tylko umysłowej, odbija się duch społeczeństwa ze swojemi aspiracyami, nadziejami, ze swoją wiarą lub brakiem wiary. W dziedzinie moralnej — bierzemy ten wyraz w możliwie szerokiem znaczeniu — częstokroć łatwiej jest umysłowi znaleźć prawdę, niż charakterowi uznać już znalezioną. W starożytności więcej, niż dzisiaj, rozumiano, że mędrzec poszukujący prawd życiowych musi być nietylko mężem wielkiego umysłu, ale przedewszystkiem silnego ducha, zdolnym patrzeć prosto w surowe oblicze prawdy.

Historya postawiła nas przed dylematem albo wywalczenia niepodległości całkowitej czy choćby częściowej, albo zrezygnowania nietylko z państwa własnego, ale w dalszej przyszłości z kultury i życia narodowego. I przykład narodów innych, i losy własne pouczyć nas powinny, iż utopią jest oczekiwać, że bez odpowiednich warunków politycznych nasze życie narodowe będzie się mogło rozwijać, nie zaś wegetować i karleć z biegiem czasu. Stwierdzenie tej prawdy obowiązuje naród do walki, do ofiar choćby najcięższych, bo chodzi o całą jego przy-

szłość, nie dziw więc, że od rozbiorów, a nawet już wcześniej, umysłowość narodu ujarzmionego skierowała się ku ominięciu tego obowiązku i pogodzeniu się z niewolą. Straciliśmy niepodległość, pocieszamy się, że może to i lepiej, że kto wie, czy sama Opatrzność nie wskazała nam tym sposobem innej szlachetniejszej drogi. W rozmaitych zapatrywaniach, przytoczonych w artykule poprzednim, znać pracę myśli, skierowaną ku ominięciu narodowego postulatu, który woła: *Hic Rhodus, hic salta.* I jeżeli w utracie państwowości chcą niektórzy widzieć naszą wyższość etyczną, to w niekonsekwentnych i sofistycznych próbach, od stu lat przedsiębranych, aby przystosować umysłowość naszą do psychologii niewoli, trudno przeczyć demoralizującego wpływu ostatniej na charakter naszej świadomości narodowej, bo rzeczą charakteru jest umieć spojrzeć prawdzie prosto w oczy, nie idealizować swoich błędów i nie szukać pociechy w odurzaniu się kunsztownymi sofizmatami historyozoficznymi.

Jest to rzecz charakteru i zdolności do życia, to też słowo to wyrzekną te świeże warstwy narodu, które czują przed sobą przyszłość. Czerpiąc z tych warstw poczucie siły i życia, dzisiejsza nasza świadomość narodowa odwrócić się musi od haseł rezygnacyi, tego śpiewu łabędziego klasy przeżytej i wyrazić się w postulatach, streszczających pełnię życia narodowego.

G. Topór.

WARSZAWA.

Szybki rozwój przemysłowo-handlowy i nienormalne warunki polityczne, w jakich się on odbywa, wpływają silnie na zmianę roli, odegrywanej w życiu Polski przez jej stolicę. Zmiana ta pod wielu względami jest niekorzystna, budzi niezadowolenie i staje się przedmiotem coraz częstszej krytyki. Na niektóre z nowych objawów w życiu warszawskiem zwracaliśmy nieraz uwagę w naszem piśmie, a krytykowaliśmy je może ostrzej, niż ktokolwiek inny. Sprawa to jednak zbyt ważna, ażeby można było poprzestać na przelotnem notowaniu poszczególnych objawów. Ewolucya, jaką przechodzi obecnie Warszawa, odbije się niewątpliwie bardzo silnie na losach całej Polski, niezbędną więc jest rzeczą zdać sobie z niej sprawę możliwie dokładnie, a jednocześnie, by nie popaść w jednostronność, uprzytomnić sobie należycie znaczenie nadwiślańskiej stolicy w życiu narodowem. Obecnie dajemy miejsce gorącej obronie Warszawy przeciw jej zakordonowym krytykom, uważamy ją wszakże za zapoczątkowanie szerszej dyskusyi w sprawie jednego z ważniejszych zagadnień naszego współczesnego życia.

Redakcya.

Między dzielnicami dawnej Polski istniał zawsze antagonizm, już to na przesądach, już to na wzajemnych pretensyach oparty. Podsycała go także kłótliwość, swarliwość i powszechne gadulstwo narodowe. Nasz stary naród szlachecki miłował się po nad miarę w krotochwili i anegdocie, w wybrykach wesołości, w przypinaniu łatek sąsiadom i współziemianom. Czasu miał wiele, pracował zaś bardzo mało. Na takiem, w znacznym stopniu, tle obyczajowem, kwitły waśnie krajowe, wojewódzkie i nawet powiatowe. Ostatnie tak plastycznie umiał zobrazować w powieściach swoich Zygmunt Kaczkowski. Owe wzajemne waśnie, zawiści i obmowy nietylko przetrwały upadek Rzeczypospolitej, lecz wzmogły się, a stosunek Litwinów do koroniarzy po ostatniem powstaniu i dzikiej rusyfikacyi krajów Gedymina stał się tak przykry i jątrzący, jak może nigdy przedtem.

Po nad temi waśniami i szykanami Warszawa długo górowała urokiem swego imienia. Powiedzieć można, że od niedawna, od lat kilku dopiero, w Galicyi szczególnie, zaczyna się lekceważyć Warszawę, jakby w odwecie nieusprawiedliwionym za wiekowe upośledzenie, w którym sama Galicya pozostawała po upadku Polski. Dla nas, ludzi z Królestwa, którzy przyjeżdżamy do Galicyi odetchnąć wolnem powietrzem, zaczerpnąć polskiego tchnienia po dusznej, więziennej atmosferze, te szykany, docinki i aluzye pod adresem Warszawy są częstokroć drażniące.

Obustronnie tej kwestyi rozbierać nie będę. Pragnę tylko wyjąć — że się tak wyrażę — kilka momentów z porozbiorowych dziejów Warszawy, rzucających światło na jej posępną, ale częstokroć i piękną historyę, wskazać znaczenie tego miasta dla ostatnich pokoleń, dla nas, dla Polski. Nie zamknę przytem oczu na ciemne strony życia warszawskiego, wynikające z okropnych warunków politycznych; przedewszystkiem jednak zależy mi na uwydatnieniu żywotności i sprężystości naszej metropolii, o ile tego dokonać można w szkicu krótkim i urywkowym.

W porozbiorowych naszych dziejach, zwłaszcza od r. 1815, Warszawa była jasną gwiazdą na tym posępnym firmamencie, dokąd zwracały się oczy, uczucia i nadzieje patryotów. Od czasów Konarskiego i Komisyi Edukacyjnej, kiedy znów przypływ świeżej krwi obiegł gnuśny organizm Rzeczypospolitej, Warszawa w złych i dobrych chwilach, wierna swemu przeznaczeniu stolicy, przodowała zarówno w ofiarności i męztwie, jak w rozpacznej godności, smutku i żałobie. Pod jej opieką uchwalono

ustawę 3-go Maja, ona nieuzbrojonemi prawie rękami wyrzuca 17-go kwietnia 1794 r. załogę Igelstroma ze swoich murów, przyjmuje z zapałem hufce napoleońskie, 29-go zaś listopada, kiedy garstka podchorążych znów zmusza do ucieczki z miasta Konstantego, pozostanie po wszystkie czasy bohaterskim epizodem w dziejach Warszawy. W r. 1831 strach obejmuje zawsze Rosyan, ilekroć się zbliżają do tego miasta, co poświadczają ich raporty i pamiętniki.

Pomimo opłakanej anarchii, panującej w rządzie i w obozie polskim, Paskiewicz z pełnem obawy wahaniem gotuje się do fatalnego szturmu, obrona zaś Woli dowiodła, co mogło spotkać Rosyan pod murami Warszawy przy innem dowództwie, sejmie i organizacyi.

Wojsko, przedstawiciele narodu, ministerya i instytucye, wszystko, co znaczniejszego, wyższego i dzielniejszego posiadała Polska przed laty siedemdziesięciu, opuściło Warszawę. Paskiewicz postawił jej teraz swoją ciężką i brutalną stopę na piersi. Zaczęło się ciężkie rzężenie, trwające lat dwadzieścia kilka. Niema tu miejsca na charakterystykę tej ponurej apatyi i opłakanej niewoli ducha, jaką w stolicy naszej zaprowadził żołdak mikołajowski, dzieje dziewiętnastego stulecia w Europie nie zawierają drugiego podobnego przykładu.

System Mikołaja został pogrzebany pod gruzami Sebastopola, Polska odetchnęła, przedewszystkiem — Warszawa. To żywe, czujne i niezmiernie wrażliwe na zmiany wszelakich prądów miasto, łatwe zarówno do szczytnych uniesień, jak i do opłakanych złudzeń, zaczęło od razu żyć przyśpieszonem biciem serca, jakby w krótkich chwilach chciało nagrodzić niewolę lat długich.

To też życie Warszawy w następującym siedmioletnim okresie czasu (1856—1863) popłynęło wartkim strumieniem, urozmaiciło się i zabarwiło, i znów stała się ona ogniskiem patryotyzmu polskiego, ofiarnego i gorącego, do którego zresztą po dziś dzień słusznie chyba posiada prawo pierwszeństwa. Był to zaś patryotyzm, zarówno na uczuciach, jak na czynach i działaniu polegający.

Towarzystwo rolnicze, instytucya dużej zasługi w dziejach kultury naszej, gromadzi w swem łonie wszystko, co kraj miał zdrowego, rozumnego i dzielnego, przoduje śmiałą inicyatywą obywatelską, podejmuje sprawę włościańską, urządza szkoły, wy-

stawy i konkursy, i w czteroletnim zaledwie okresie czasu cuci kraj z apatyi epoki mikołajowskiej, napełnia głowy żądzą reform i serca miłością Polski. Jest to przykład tak chlubny, że niewiele podobnych wskazaćby można w dziejach społeczeństw, podnoszących się z tak głębokiego upadku, jak wówczas Królestwo kongresowe. Tylko podobna instytucya, założona przez Cavoura, również skutecznie pracująca nad odrodzeniem i zjednoczeniem Włoch, godneby zająć mogła obok naszej miejsce.

Nie tutaj miejsce na wywody i uwagi polityczne. Podnoszę tylko niektóre momenty z dziejów Warszawy w minionem stuleciu. Otóż uznać trzeba, że odarta z wszelkich atrybucyi i cech stolicy politycznej, zachowała długo ciepłą i żywą atmosferę moralną, dar inicyatywy obywatelskiej i ofiarnej, czujną i głęboką intuicyę narodową, blask i wdzięk nareszcie, które jej słusznie zapewniły wyższość nad wszystkiemi innemi miastami polskiemi, które czyniły z niej punkt ogólnego ciążenia.

Podczas powstania 1863 i 1864 r. Warszawa w zmienionych tylko okolicznościach jest tem, czem była za kościuszkowskiego i listopadowego powstania. Wtedy była zbrojnym i wojskowym, teraz jest moralnym i materyalnym obozem, ożywia ducha, dostarcza pieniędzy, broni i ochotników, leków i bandaży, jest siedliskiem rządu narodowego i, pomimo szubienic na stokach cytadeli, źródłem powszechnego zapału.

Powstanie upadło, konało w długich konwulsyach, krwawiąc całą Polskę. Nie tyle pogrom obalił naród, ile go przeraziło okrutne znęcanie się, trwające już lat czterdzieści, po dzień dzisiejszy. Ludzie rodzą się, dojrzewają i, starzeją pod ciągłem wrażeniem niewoli, ucisku i zdzierstwa, marnują się i patrzą na powszechne dokoła marnienie.

«Nie weszło słońce nad świętych mogiłą,
I coraz podlej na tej ziemi było».

I pomimo tego wszystkiego, pomimo bezprzykładnie — śmiało to powiedzieć można — rozpaczliwego stanu, w jakim się od lat czterdziestu, właściwie siedemdziesięciu (1831 r.) znajduje Warszawa, wykazała ona znów, po ostatniej katastrofie narodowej, niepospolitą żywość i żywotność. Jeszcze nie zastygły na szubienicach ciała ostatnich skazańców, jeszcze Berg i Murawjew podpisywali wyroki śmierci, kiedy nowy prąd toruje sobie śmiało drogę wśród ogółu, woła o nowe formy społeczne i wskazuje nowe pola pracy.

Mówię tu, naturalnie, o ruchu, znanym pod nazwą pracy organicznej. Pragnę zastrzedz odrazu, że nie należę bynajmniej do jego gorących wielbicieli. Znam jego grzechy przeciwko duchowi narodowemu, jego nadzwyczajną polityczną naiwność, wyrażoną przytem z budzącą podziw pychą w takich np. «Wskazaniach politycznych», jego parweniuszowską i ograniczoną u niektórych przewódców nienawiść przeszłości. Wszystkie niemal dogmaty, namiętności, przesądy i żądze naszych pozytywistów najdłużej przetrwały w publicystycznych argumentach i pracach Prusa; jest on żywym pomnikiem pozytywizmu warszawskiego, jego «Najogólniejsze ideały życiowe» — stężałym i skrystalizowanym okazem przebrzmiałej już dziś epoki, smutnym dowodem, jak z uporem i zarozumiałością wyznawana doktryna ściska obręczą niezwykłą nawet glowę, jaki pomiot z tej głowy wydaje.

Pomimo tego jednak młodzi nasi pozytywiści, wówczas, przed trzydziestu z górą laty, byli wyrazem ewolucyi i energii społecznej w rozpaczliwej chwili naszej historyi narodowej. Nieopatrznie wprawdzie względem dziejowego posłannictwa Polski, z rażącą arogancyą, lecz uderzyli oni istotnie «w czynów stal». Nawoływali społeczeństwo do pracy praktycznej, rozsiewali nowe wyobrażenia, czerpane pełną garścią z nauki zachodnio-europejskiej i, chociaż, udając oryginalnych myślicieli, byli tylko popularyzatorami lub nawet reporterami wiedzy europejskiej, wytłomaczyćby to można ich młodością i wielką gorączką umysłów, jaką teorye i odkrycia naukowe wzbudziły wtedy w Europie.

Okres czasu 1856—1862 r. jest znamiennym i pamiętnym okresem w dziejach nauki. Jednoczesne ukazanie się prac Darwina, Klaudyusza Bernarda, Helmholtza, Baina, Milla i innych zmieniło do gruntu wiele podstaw wiedzy. Umysł poszedł śmiało na nowe drogi. Cale gałęzie badania powstały z zadziwiającą szybkością. To, co w XVIII-em stuleciu było tylko domysłem, teraz, zdawało się, sprawdziły badania ścisłe.

Te prace wywołały wielki przewrót w poglądach na przyrodę, na życie wogóle i na życie społeczeństw ludzkich. Upajano się wiedzą i jej zdobyczami, wierzono, że ona cudów dokona, «postęp» był bożyszczem młodzieży, budowano świat nowy, wierzono w dobrobyt, oświatę i szczęście powszechne. Przedstawiciele «młodej prasy warszawskiej» i ich współwyznawcy

w tłumie ukryci przyjęli z zapałem wiarę nowego kościoła. Zdawało im się, że stworzą nowe społeczeństwo, co więcej, nowy typ społeczeństwa. Błądzili bardzo pod wielu względami, lecz nikt nie zaprzeczy, że niektóre ziarna przez nich rzucone, wydały owoce, że wzmocnili istotnie duchowe siły ogółu. Wprawdzie kłamstwem i ciemnotą umysłową jest tak często powtarzane przez niektórych z nich twierdzenie, jakoby oni pierwsi zasiali wyobrażenia demokratyczne w Polsce, jakoby przedtem całe społeczeństwo kostniało w zacofanych, szlacheckich pojęciach, jednak w ostatecznym bilansie okres pracy organicznej i Szkoły Głównej stanowi pozycyę dodatnią i ważną zarówno całego kraju, jak i ciężkich porozbiorowych dziejów Warszawy.

Minęła Szkoła Główna, minął pozytywizm i praca organiczna, które pod pewnym względem były jej potomstwem duchowem, minęła niemożliwa do wcielenia idea asymilacyi żydów, uczynienia z nich «Polaków wyznania mojżeszowego», minęły wszystkie przesądy i mylne rachuby, z okresem tym związane, w rodzaju takich, jak «ekonomiczne zawojowanie cesarstwa», jak kulturalny rozkwit Królestwa przy upośledzeniu politycznem, przy stłumieniu wszelkich objawów życia publicznego.

Wprawdzie wśród przedstawicieli postępowej prasy warszawskiej są tacy, co się do dziś dnia oddają naiwnym w tym kierunku złudzeniom. Wprawdzie są wśród nich tacy, co kruszą jeszcze na szpaltach tych tygodników kopie w imieniu «postępu», co walczą z «reakcyą». Jeżeli im p. Iwanowski (długoletni cenzor warszawskich tygodników społecznych i miesięczników naukowych) pozwoli nawymyślać jakiemuś księdzu lub przepuści echo bojowe dalekiego radykalizmu europejskiego, to ci szermierze wpadają w radosne i złośliwe uniesienie, cieszą się i chwalą ze zwycięztwa nad reakcyą.

Biedne są te stare dzieci, ślepe w swem naiwnem ograniczeniu! Któż z jakim takim zmysłem i wykształceniem politycznem wyobrażać sobie będzie, że w państwie rosyjskiem, zwłaszcza pod cenzurą warszawską, można walczyć z reakcyą. Można tylko tańczyć postępowego kankana i tem błazeństwem czynić nowy zamęt w głowach biednej młodzieży, jakby go mało jeszcze przedtem uczyniła opłakana karykatura szkoły i uniwersytetu! Ale to już nie należy do naszego przedmiotu.

Minęły więc kolejne prądy i wyobrażenia, pojmowanie interesów i dążeń społecznych, które po powstaniu wywalczyły

sobie prawo obywatelstwa, zostały obwołane za hasła, miały — według ich wyznawców — zapewnić trwały rozwój głównej części narodu polskiego. Nie można zaprzeczyć, że niektóre z tych haseł i programów przybrały na siebie w pewnej mierze żywe kształty, lecz inne okazały się zwodnicze, doprowadziły do rozczarowań i błędów.

Nastały jedenastoletnie rządy Hurki, zmienione, stosownie do potrzeb chwili, nowe wydanie dragonad i bestyalii Paskiewicza. Okres ciężki, duszny, złowrogi. Z jednej strony rządy brutalnego żołdaka, z drugiej intrygi, przewrotnej i chciwej jego małżonki, nienawidzącej zarówno społeczeństwa polskiego, jak i czyhającej na inwentarze pałaców cesarskich w Warszawie.

Najsilniejszy naród nie przeżyłby bez śladów głębokich takich okresów historycznych: rozwój cywilizacyjny powstrzymany, słowo publiczne stłumione, dokoła ucisk, bezprawie i łapówki, nieograniczona swawola czynowników i policyi, szkoły oddane na łup opryszków, nad najmniejszem, najniewinniejszem skupieniem społecznem czuwa machina destrukcyjna, gotowa je w każdej chwili rozbić, prowokacya na każdym kroku, gwałt, podłość wszędzie. Rozpacz wrażliwszych, tępa apatya przeciętnych, zbrodnicza lekkomyślność głupich, i nad tem wszystkiem wiernopoddańczość występnych i nikczemnych składa przysięgi i daje zapewnienie lojalności, wtedy, kiedy od niej żądają i wtedy, kiedy nie żądają.

Tak, naród nie przeżywa darmo podobnych momentów dziejowych. Stosownie do czasu — u nas zaś trwały i trwają tak dawno — zostawiają one długo ślady na jego charakterze, na jego zdolnościach politycznych.

Warszawa i Polacy warszawscy zmienili się także w tych latach. Warszawa zmieniła się, lecz nie upadła, instynktownie i rozumowo poszukiwała przewodniej nici życia, nowych podstaw społecznych, kiedy stare się usuwały, nowych zasad politycznych, słowem nowych, jawnych i lepszych źródeł życia, tak bardzo zewsząd zagrożonego.

I w pierwszych latach rządów Hurki, gdy cenzura pozwalała jeszcze na formułowanie prądów i potrzeb społecznych, w r. 1886, paru śmiałych i dzielnych publicystów założyło w Warszawie tygodnik społeczny, *Głos*, z programem ludowym, z programem uczynienia z ludu centralnej osi — jeżeli tak po-

wiedzieć można — w życiu społecznem, «podporządkowania interesów innych warstw interesom ludu».

W tak wyjątkowych tedy czasach, choć część inteligencyi warszawskiej czyniła wysiłki, ażeby nie zwyrodniały wyobrażenia narodu, ażeby proces przemiany społecznej odbywał się bez zgubnej przerwy i zastoju, ażeby świeża krew obiegała centra i kończyny organizmu. Zauważę nawiasowo, że główna idea programu warszawskiego *Głosu* weszła później do programu stronnictwa demokratyczno-narodowego; stosownie postawiona i częściowo zmieniona rozwija się w poglądach, jak je obecnie nazywamy — «wszechpolskich».

1-go listopada 1894 r. umarł Aleksander III, *„głup, tup i upriam“*, jak go nazywali Rosyanie, i Warszawa ożyła, odetchnęła. W kilka tygodni później Hurko dostał dymisyę i Warszawa z radości, w dzień imienin Mikołaja II iluminowała rzęsiście domy. To przykry fakt dla dumy narodowej, lecz wytłomaczyć go niezmiernie łatwo. Tutaj zaczynają się wahania i kręte ścieżki w psychologii narodowej, naiwności, błędy i podłości w tej naszej opłakanej polityce bez polityki, gdzie Szuwałow i Imeretyński zręcznie i chytrze pociągają ku sobie «urodzonych» i nieurodzonych przedstawicieli społeczeństwa, szczepią im ideę harmonii polsko-rosyjskiej, raczej polsko-policyjnej, tworzą nowy legion urzędników do szczególnych poruczeń, łowczych i kamerjunkrów, demoralizują ostatecznie naszą pseudoarystokracyę, ponieważ prawdziwej nie mamy, i plutokracyę. Zaczyna się i trwa jeszcze w kołach zachowawczych po dziś dzień to fałszywe hasło ugody i lojalności, w które nikt bezinteresowny po tej i tamtej stronie nie wierzy, ponieważ nie spełniono ku temu ani jednego przedwstępnego warunku, ani jednego aktu dobrej woli. Polityka rosyjska tak jest splątana i przewrotna, tak w istocie rzeczy sama za siebie nieodpowiedzialna, takie przekleństwo dziedziczności na niej ciąży, ze wszelkie rachuby zawiedzie i względem równej tylko siły i przewrotności wstrzemięźliwość zachowa.

To też dotychczasowe panowanie Mikołaja II, metody, środki, sztuki i sztuczki generał-gubernatorów warszawskich, wyraźny bunt wpływowej prasy i biurokracyi, ilekroć te spostrzegły najlżejsze zmiany zachowania się cara lub wydatnych jednostek względem Polaków, reagowanie nareszcie nasze na to wszystko, posiada nieocenioną wartość dla historyka.

Kulminacyjnym punktem tego okresu był 31-szy sierpnia 1897 r., dzień wjazdu Mikołaja II do Warszawy, uroczyste i radosne przyjęcie go przez wszystkie warstwy. Warszawa nie powitała tak jeszcze nigdy żadnego cara, nie wyłączając Aleksandra I, kiedy, jako król polski, przyjechał z kongresu wiedeńskiego. Lojalizm i ugoda doszły zenitu.

Dzień ten przygotowywano długo i gorliwie. Przygotowywał go Imeretyński objazdami po kraju, przemówieniami i uważnem słuchaniem powitań, daleko sięgających, niepospolitą zręcznością i układnością, przygotowywała go klika karyerowiczów dworskich, wśród których Leopold Kronenberg, Władysław Wielopolski i Eustachy Dobiecki najgorliwiej zabiegali, za co nie minęły ich nagrody; przygotowywało go całe stronnictwo «ugodowe», arystokracya i plutokracya, wszyscy, do samodzielnego myślenia niezdolni i owczym pędem owładnięci, cały motłoch episierów, cała bezmyślna masa. Nie na nich koniec. I ludzie powściągliwsi, z polskiemi uczuciami w piersi, już to ulegli grasującej dokoła zarazie, już to w mniemaniu, że się istotnie odbywa akt dziejowy wielkiego znaczenia, że historya rosyjsko-polska dobiegła zwrotnego punktu, wydali okrzyk radości, powitali gorąco cara.

Warszawa tego dnia dała dowód gorszącej słabości, złożyła dobrowolny hołd przemocy. Była to wszelako nie hańba, lecz słabość, nie wstyd, lecz błąd *(? Red.)*.

Zresztą, kiedy już znamy genezę tego dnia, przypomnijmy sobie, ile to wielkich stolic Europy doświadczyło podobnych chwil słabości, w okolicznościach, mniej na uwzględnienie zasługujących. Paryż, w r. 1814, kiedy Napoleon nie podpisał jeszcze abdykacyi w Fontainebleau, wita lekkomyślnie Aleksandra i sprzymierzonych, Wiedeń i Berlin wylega na spotkanie armii napoleońskiej.

Warszawa witała Mikołaja II w przekonaniu, że przywozi ze sobą różdżkę oliwną pokoju. Z drugiej strony, ostatni, kilkoletni okres czasu, miał także chwilę, kiedy, zdawało się, lody zaczęły tajać, łąki pokrywać się kwieciem, pracownicy pochwycili za rydle, jęli kopać i przewracać zaniedbaną i wyjałowioną ziemię.

Działo się to podczas pierwszych dziesięciu miesięcy rządów Imeretyńskiego, w tym samym roku 1897. Krew zaczęła żywiej krążyć, zwodnicza nadzieja rzuciła trochę blasków sło-

necznych, powstała wiara w zmianę, przynajmniej w możliwość zmiany położenia, bez wiary zaś żyć, działać i tworzyć trudno. Poruszyły się wszystkie opinie polityczne, zaczęliśmy rozprawiać, zaczęły się ścierać zdania i przekonania, atmosfera Warszawy stała się żywą i ciepłą, przynajmniej w ścianach domów swoich poczuliśmy się narodem, który znów może stanie się sam za siebie odpowiedzialnym.

Nie tak to dawno a chwila ta już się stała zupełnie historyczną. Każdy, kto należy do pokolenia ostatnich lat czterdziestu, powie, że był to jednak moment szczęśliwy i barwny na rozpaczliwie szarem, gnębiącem i jednostajnem tle życia polskiego pod panowaniem rosyjskiem.

Jednocześnie inteligencya warszawska dała znak życia. W pismach, którym udzielono jakiej takiej swobody słowa, zaczął drgać puls, zaczęły polemizować, kłócić się i czegoś dowodzić, co w prasie warszawskiej, gdzie się nikt o sprawy szersze i ważniejsze nie sprzecza, było wypadkiem wielkiego znaczenia. Umysł polski, skazany wprost u nas na zanik głównych pojęć, pogrążony kolejno w bierności lub rozpaczy, odświeżył się przez owe jedenaście miesięcy w połowicznym choćby ogniu rozprawy i argumentacyi.

Uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie (24 grudnia 1898 r.) zapisała się także w sercach wszystkich, co byli jej świadkami. Warszawa w owych dniach poczuła się znów słusznie stolicą Polski, odzyskała na chwilę moralny rząd nad krajem i narodem. Temperatura była wysoka, Moskale zobaczyli, że są tylko intruzami i przywłaszczycielami, że stoją tylko siłą brutalną, nie zapuściwszy korzeni w ziemię. Pamiętny był nastrój tego pięknego dnia grudniowego, napół radosny i napół tragiczny, taki, jaką była pieśń nasza, w chwilach swego natchnienia u wielkich poetów, z których największego czczono, i jaką była dusza nasza pod Lipskiem i pod Grochowem, podczas pogrzebu pięciu poległych, jaka wyziera z marszów Chopina i rysunków Grottgera.

Dla narodu, któremu wydzierają jego istnienie, chwile takie posiadają znaczenie nieobliczone, dosięgają najgłębszych tajników jego ducha, budzą uśpione a wspaniałe marzenia, powołują do wysiłków na zapomnianych zwaliskach i stawiają przed oczyma rozległe plany przyszłości.

Czy mamy zamykać teraz oczy na ujemne strony War-

szawy? Bynajmniej. Kiedy się znajdę w paplącem i krzyczącem towarzystwie warszawskiem, kiedy obejmę okiem gromadę, złożoną z flirtujących kobiet i mężczyzn, rozpuszczających swoje soki moralne w tej mdlącej limonadzie, ogarnia mnie gorzkie uczucie trwogi i obawy o przyszłość tego społeczeństwa, którego zachowanie się nie licuje ani z powagą położenia, ani z wyższym poziomem moralnym i estetycznym, na jakim stawać powinniśmy; kiedy widzę, z jakiem upodobaniem i zamiłowaniem oddajemy się uciechom stołu, jak obżarstwo, opilstwo i karciarstwo jest cechą naszej pracującej inteligencyi, podobnie jak sejmikującej niegdyś szlachty, — to znów smutne i dręczące ogarniają mnie myśli, ponieważ bez wstrzemięźliwości w jadle, napoju i rozmowie, w całym obyczaju domowym i publicznym, nie odzyskamy tej trzeźwej męzkości, która stanowi pierwszą kwalifikacyę obywatela i człowieka dojrzałego czynu.

Warszawa pod względem obyczajowym jest zjawiskiem patologicznem. Wielkie ognisko energii, uczuć i dążeń części narodu, Warszawa nie potrafiła, może i nie usiłowała zrzucić z siebie lekkomyślności, powierzchowności i wiekuistej pogoni za pozorami. Zaraza próżności i płochości unosi się w jej atmosferze, gadulstwo nieskończonem wszędzie odbija się echem i Warszawiak, w części niesłusznie, w części i słusznie, stał się synonimem płytkiego efekciarstwa, blagi i udawania.

Istotnie posiadamy więcej udawaczów, niż inne społeczeństwa. Udawanie jest naszą narodową chorobą, z której leczyć się musimy pod groźbą ciężkich skutków, jeżeliśmy wszystkich jeszcze nie doznali. Któż udaje to, czem nie jest? Przedewszystkiem słabi, źli i głupi. Kogo nie stać na wydobycie z samego siebie treści, na stworzenie własnej wartości i nadania jej formy samoistnej, ten ucieka się do naśladowania, do udawania, ten się zawsze wspina na palce, ażeby być wyższym, ten nastroszoną miną zasłania karykaturalność i nikłość swych rysów.

Polska i Warszawa mają zawielu udawaczy, dziedziczna choroba arystokratyczna sprzyja temu w wysokim stopniu. Rzecz uwagi godna, że nie posiadając w istocie nigdy zwartej i zamkniętej, przywilejami obdarzonej arystokracyi politycznej, zachorowaliśmy od dołu do góry na arystokratomanię, rozstrajającą spójnię społeczną. Nasza oligarchia pomagała właśnie tej manii. W tem mieście, tak wrażliwem i połyskliwem, tak skłóconem, różnorodnem i wszelkich wytycznych linii pozbawionem,

gra pozorami jest stokroć łatwiejszą, niż w środowiskach, żyjących życiem konsekwentnem i regularnem.

Pod destrukcyjnym wpływem rządów despotyczno-policyjnych wszelkie ujemne strony wielkiego zbiorowiska ludzkiego występują na jaw w całej pełni, kiedy dodatnie albo się ukrywają, albo nie rozwijają wcale. Ci więc, co z lekkiem sercem oskarżają Warszawę, powinni to wziąć pod uwagę, powinni pamiętać, że życie nowoczesne już z istoty swojej nie znosi więzów państwowości autokratycznej, cóż dopiero azyatycko-policyjnej. Nic dziwnego zatem, że karyerowicze i błazny rej coraz więcej wiodą w Warszawie, że oni widnieją na horyzoncie. Nie mamy przecież miejsca dla mężów stanu, patryotów i obywateli, uczonych, moralistów i bohaterów. Ostatni wiodą żywot albo cichy i nikomu nie znany, albo o niektórym dowie się czasami cytadela.

Wszystkie wyższe akty umysłu i sumienia, wszystkie publiczne funkcye życia narodowego zamknięto. Nic więc łatwiejszego, jak szydzić z tej Warszawy, jak gorszyć się jej lekkomyślnością i płytkością, upadkiem smaku i wykształcenia. To, co przynosi ujmę Warszawie, widnieje z bezmyślności jej dzienników i poziomu teatrów, z błazeństw złotej młodzieży, ze strojnych, próżnych i głupich kobiet, z chaotyczności płaskich głów i płytkich słów, ze skandali brukowych i t. p.

Powierzchowny spostrzegacz rzeczy, przybywszy do Warszawy, łatwo wyda ujemny wyrok o niej. Znajomi i przyjaciele zaprowadzą go do modnego salonu na «czarną kawę» lub «herbatę», gdzie się zbiera «cała Warszawa». Czegoż tam dowiaduje się? Oto gospodarz tego domu, gromadzący u siebie «kwiat» literatury i sztuki, przedstawicieli wszystkich warstw, nie wyjmując dobroczynnych prałatów, członków rodzin arystokratycznych, i znane w mieście osoby na polu filantropii i działań społecznych, jest znanym w mieście infamisem, w najzupełniejszej pogardzie u ludzi uczciwych...

Objawy takie świadczą bez zaprzeczenia o głębszej zgniliznie moralnej Warszawy, choć dotyczy to kół, za przodujące uchodzić pragnących. Przeczyć temu niepodobna. Kiedy zdrajcę i infamisa Ponińskiego sąd zkazał na banicyę — powinien go był skazać na topór — znaleźli się tak wyrodni Polacy, którzy pośpieszyli do niego za rogatki miasta na biesiadę, wydaną jakby na urągowisko prawom Rzeczypospolitej. Dziś nie mamy

zdrajców stanu, biesiadujących pod murami stolicy, ale zgnilizna wewnętrzna jest co najmniej tak niebezpieczną, jak wówczas zdrada.

Powierzchowny spostrzegacz ma już wtedy gotową opinię o towarzystwie warszawskiem, do której doszedł bardzo łatwo. Bez porównania zato trudniej wytworzyć sobie opinię o istotnej wartości Warszawy i jej znaczeniu dla życia narodowego. Na to trzeba nietylko czasu, nietylko szczególnego zmysłu oryentowania się w tak wyjątkowych stosunkach, nietylko zaufanego informatora, któryby cię oprowadzał wśród utajonych źródeł, do tego potrzeba czujnego i kochającego serca polskiego, odgadującego pod szarymi częstokroć pozorami rozum, pracę i poświęcenie.

Nie zamykam bynajmniej oczu na rozstrój i anarchiczne wstecznictwo życia warszawskiego. Plugawiona nietylko przez Moskali, lecz i przez moskiewskie żydowstwo, ze skrępowanemi rękoma i zakneblowanemi ustami, pozbawiona wszelkich regulatorów życia publicznego, jak oświata narodowa, instytucye samorządu i t. d., Warszawa staje się napozór bezładnem zbiorowiskiem ulic i domów bez stylu, ludzi bez ducha i porządku w głowie, społeczeństwem bez kierownictwa i przewodnictwa, stekiem namiętności nizkich i zgiełkiem interesów powszednich, chaosem egoizmów bez myśli wspólnych, bez widnokręgów szerszych.

Niebezpieczeństwo zagraża jej i z nią krajowi całemu. Kto tylko umie czuć, patrzeć, czynić spostrzeżenia i wnioski, ten się złudzeniom pod tym względem oddawać nie może. Ocalić Warszawę i kraj przed groźnem niebezpieczeństwem daleko sięgającego kulturalnego upadku i społecznego rozprzężenia potrafi tylko moralna i narodowa samowiedza jej synów, troskliwe i wytężone czuwanie nad sobą i otoczeniem, nareszcie przenikanie z za kordonu tchnień zdrowych, krzepiących i jednoczących.

Dobiega już lat czterdzieści, jak żyjemy w najgorszych warunkach, prowadzących do zniszczenia naszego rozwoju, nawet samego bytu. Czterdzieści lat! Wychowawcy publiczni utrzymują, że chcąc zniszczyć cywilizacyę jakiegoś narodu wystarcza wprowadzić do szkół i wyższych zakładów wykład nauk w języku obcym. U nas to uczyniono. Pomimo to cywilizacyi naszej nie zdołano zniszczyć, choć ją nadwyrężono i wstrzymano jej samodzielny rozwój.

Jest to najdłuższy, w porozbiorowym bycie, okres gwałtu i barbarzyństwa, jakiemu ta część Polski uległa. Smutne czasy pruskie trwały lat dwanaście, panowanie Konstantego i Nowosilcowa, nie mogące zresztą iść w porównanie, jeżeli ich początek oznaczymy na rok 1818 (już na pierwszym sejmie nadłamano ustawę konstytucyjną), także — dwanaście, rządy Paskiewicza — dwadzieścia cztery.

Czterdziestoletnia zaciekłość dzikiej i łupieżczej biurokracyi rosyjskiej, nieustanny paroksyzm państwowego temperamentu rosyjskiego, owładniętego furyą prześladowczą i monomanią, rozbiły się o żywotne siły społeczeństwa polskiego. Nie można wprawdzie oddawać się złudzeniu, żeśmy przez te czterdzieści lat nic nie utracili, lecz straty wetuje uświadomienie ludu, czyniące szybkie postępy, i wzmożona spójność narodowa.

Zmiany polityki rządowej nikt z widzących rzeczy w ich przyczynowym, historycznym biegu przewidywać nie będzie. Na to trzebaby klęski zewnętrznej lub przewrotu wewnętrznego. Jest też wysoką niesumiennością — nie chcę użyć dobitniejszego wyrazu — robić pod tym względem jakieś nadzieje społeczeństwu, tak łatwowiernemu, jak nasze. Ten brzydki grzech, z poziomych najczęściej pobudek płynący, podzielają warszawscy, petersburscy i krakowscy lojaliści, jawnie lub między wierszami dający do poznania, że «ulgi» będą, tylko trzeba na nie zasłużyć.

Co więcej, tych «ulg» pragnąć nawet nie możemy. Cóżby właściwie nastąpiło? Oto, w najlepszym razie, powtórzyłaby się komedya polityczna z czasów Szuwałowa i Imeretyńskiego, którzy, przy pomocy ulotnych i znikomych pozorów, uwiedli jednych, upodlili drugich, zamącili całą opinię publiczną. Rosya poczyni nam «ulgi» i ustępstwa wtedy dopiero, kiedy poczuje w nas siłę społeczną. Naród dwudziestomilionowy uwierzyć powinien, że los własny w jego leży ręku, że jeżeli zgodnie, energicznie i wytrwale dążyć będzie do samoistności, to ją zdobędzie niechybnie. To się zgadza i z logiką dziejową, i z moralnością, i z międzynarodowem położeniem Europy, i z praktyką polityczną. Zapytajcie Czechów, czegoby oni nie dokonali, gdyby ich było dwadzieścia milionów, i zobaczcie, co uczynił ten mały, czteromilionowy naród, otoczony z północy, zachodu i południa oceanem niemieckim? Wierzył i chciał, działał i dokonał, stał się kowalem swego losu.

Czy w przeznaczeniu, które czeka Polskę, Warszawa nie będzie już miała roli, godnej jej przeszłości bohaterskiej, kiedy była sercem i stolicą Polski, kiedy odległe prowincye i ziemie oczekiwały jej skinienia, kiedy «jedna tylko urągała mocy» Mikołaja? Przypuszczenie nietylko smutne, lecz i błędne.

To miasto podlega bez zaprzeczenia ciężkiemu przesileniu pod względem kulturalnym; zarówno nauka i sztuka, jak jasna myśl polityczna zatrzymały się tutaj w swoim zdrowym i śmiałym rozwoju, niektórzy już idą dalej i zaczynają przyrównywać Warszawę do Łodzi, jako wyłącznego rynku interesów pieniężnych, przemysłowych i handlowych, bez uszlachetniającego wpływu czynników umysłowych i estetycznych.

Przyznając temu w znacznej mierze słuszność i widząc przyczyny, które to obniżenie się wywołały, jesteśmy jednak najmocniej przekonani, że z tego przesilenia Warszawa wyjdzie ze świeżym zapałem w sercu i energią w duszy, że zawiele w sobie gromadzi twórczych i rzutkich pierwiastków polskich, ażeby one w najgorszych warunkach nie znalazły dla siebie pola i nie przedarły się przebojem wśród chaosu, zastoju, lekkomyślności i upodlenia.

W tym urywkowym szkicu spróbowałem Warszawy bronić, zarówno z pobudką uczucia, jak i doniosłości narodowej, chociaż razem z innymi boleję nad zmianą charakteru tego miasta, nad tem, że wzrasta ono bez porównania szybciej pod względem ilości, niż jakości. Tylko to mi nie przeszkadza wierzyć jeszcze w żywotność i patryotyzm Warszawy, to mi nie przeszkadza mieć usprawiedliwionej nadziei, że wbrew wszystkiemu znajdzie ona formułę swego rozwoju.

Nie mając areny do potężnych walk, godnych historycznego i wielkiego narodu, do namiętnych i szerokich rozpraw i dyskusyi, roztapiamy uczucia swoje we wzajemnych szykanach, w złośliwości płytkiej i pospolitej. Stąd pochodzi także ten ton uszczypliwy, z jakim coraz częściej mówi się za kordonem o Warszawie.

Dziś, kiedy, dzięki Bogu, powstało znów stronnictwo prawdziwie narodowe, wszechpolskie, które wspólnem wyobrażeniem politycznem i jednem uczuciem patryotycznem pragnie objąć wszystkie obszary, dziś byłoby szczęściem i krokiem naprzód, gdyby antagonizmy dzielnicowe i prowincyonalne roztapiały się powoli w solidarności, gdyby płytka, najczęściej z igno-

rancyi płynąca złośliwość wzajemna ustąpiła miejsca jedności narodowej, do której obecnie, niestety, tylko rzadkie, wprost wybrane jednostki są zdolne. Przy toastach powtarzamy wszyscy, że nie znamy kordonów, ale jak nam daleko w istocie do tego! Duch ogólno-narodowy, duch tej idealnej, wielkiej i krwawej Polski, co najlepszych swoich wyrazicieli znalazła w Kościuszkach, Mochnackich i Mickiewiczach, pod wpływem teoryi trójlojalizmu uleciał. Dobrze, że są tacy, którzy go znów sprowadzają na ziemię.

Owe antagonizmy, złości i nienawiści dzielnicowe większą szkodę wyrządzają, niżby się zdawać mogło. Sprawiają mianowicie, że jesteśmy częstokroć względem siebie, jakby wrogo nastrojonymi cudzoziemcami, tyle tylko, że mówiącymi jednym językiem. Obojętność jednego zaboru na sprawy drugiego idzie daleko. Sprawiedliwość wyznać zaleca, że chlubny pod tym względem wyjątek stanowi owa nieszczęśliwa Warszawa, że ona jedna pomimo opłakanej karykaturalności swoich stosunków społecznych, pomimo płytkiego chaosu swoich wyobrażeń i strasznej nędzy warunków życia publicznego, pomimo wszystkich ciosów i apatyi zachowała wiele cech metropolii, wiele moralnych rysów istotnej stolicy Polski.

St. Wolomirski.

Z ROSYJSKIEJ WSI.

Kartka z notatnika przymusowego spostrzegacza.

Do studyów nad Rosyą, którym daje miejsce *Przegląd wszechpolski*, może pożądany będzie przyczynek w postaci uwag człowieka, który, skazany na kilkoletnie mieszkanie w głębokiej wsi rosyjskiej, miał sposobność przez długi czas patrzeć zblizka na chłopa wielkoruskiego, tę podstawę społeczną państwowego kolosu. Od właściwości ostatniego zależy przedewszystkiem narodowa i polityczna przyszłość Rosyi, sądzę więc, że spostrzeżenia powyższe, choć przeważnie nie nowe i chociaż nie ujęte w systematyczne studyum, umożliwią niejednemu czytelnikowi dopełnienie sobie obrazu tem, czego mu właśnie w nim brakowało.

Wszyscy mieszkańcy państwa rosyjskiego dzielą się na dwa zasadniczo różniące się stany: na t. zw. stany wolne *(wol-*

nyja sosłowija) i na stany podatkowe *(podatnyja sosłowija)*. Pierwsza kategorya mieszkańców jest zwolniona od podatków osobistych i może dowolnie obierać sobie miejsce zamieszkania. Do kategoryi tej należą: szlachta, urzędnicy, duchowieństwo, ludzie posiadający dyplomy uniwersyteckie, oraz wszyscy ci, którzy otrzymali od gminy t. zw. świadectwo zwolnienia *(uwolnitielnoje świdietelstwo)*. Do stanów podatkowych należą wszyscy mieszkańcy gmin wiejskich i miejskich.

Gmina rosyjska *(wołost')* ma nadzwyczaj obszerne prawa nad swymi członkami. Zebranie gromadzkie dowolnie dzieli ziemię gminną, rozdziela podatki, przypadające na gminę, może sądzić swoich członków i skazywać ich nawet na deportacyę na Syberyę, może wreszcie zmusić swego członka do powrotu i do zamieszkiwania w obrębie gminy.

Te oficyalne przywileje gminy rosyjskiej są podtrzymywane przez rząd, jak zaś się zdaje, głównie z tego powodu, że gmina wobec rządu solidarnie poręcza wypłatę podatków. Ten sam bodaj wzgląd każe rządowi podtrzymywać istnienie własności gminnej. Chłop rosyjski, właściwie mówiąc, nie jest wcale posiadaczem nieruchomości (dom i budynki nie są tam nieruchomością, o czem niżej). Ziemia jest wyłączną własnością gminy i zebranie gromadzkie w każdej chwili może urządzić nowy podział ziemi. Od czasu zaś do czasu takie podziały ziemi od bywają się obowiązkowo.

Każdy pełnoletni mieszkaniec gminy ma prawo żądać odpowiedniego działu ziemi dla siebie, ponieważ jednak działy takie są zawsze kłopotliwe i uszczuplają działkę każdego z mieszkańców gminy, gmina więc o ile możności nie śpieszy się z obdzielaniem ziemią wszystkich pełnoletnich. Zdarza się więc dosyć często, że kilku pełnoletnich synów uprawia działkę swego ojca, jakkolwiek każdemu z nich należałaby się prawnie działka całkowita narówni z innymi gospodarzami. W dwóch jednak wypadkach działy odbywają się zawsze. Każdy pełnoletni mężczyzna, który odbył powinność wojskową, ma oficyalne prawo dopominania się o działkę ziemi. Gdy więc w danej gminie znajdzie się kilku t. zw. wysłużonych (żołnierze urlopowani, którzy odbyli służbę wojskową), to władze rządowe zmuszają gminę nawet wbrew woli ogółu do przeprowadzenia działów i nadania ziemi żołnierzom.

Drugim powodem działów jest forytowanie jakiegoś go-

spodarza lub też chęć dokuczenia komuś. Jeżeli więc jakiś włościanin naraził się większości lub wzbudził w sąsiadach zazdrość, to zebranie gminne wtedy przez zemstę lub chęć dokuczenia przeprowadza nowe działy i nielubianemu osobnikowi odbiera jego działkę, dając mu wzamian gorszą. Również, gdy ktoś z włościan ma apetyt na cudzą działkę i potrafi skaptować sobie większość (odbywa się to zawsze za pomocą poczęstunku wódką), a jednocześnie, gdy ten drugi nie ma wielkiej sympatyi u większości i nie stać go na poczęstunek, zebranie gminne przeprowadza działy częściowe, zamieniając grunta gospodarzy.

Od takich wyroków zebrania gminnego apelacyi niema. Zresztą apelowanie do władz rozjątrzyłoby gminę, a to jest rzecz niebezpieczna, gdyż gmina posiada potężne środki zemszczenia się. A więc przy podziale podatków nielubianej jednostce mogą kazać zapłacić więcej, mogą ją wreszcie obrać t. zw. dziesiętnikiem policyjnym, a takiego wyboru nie przyjąć nie można. Jest to zaś czynność niezachęcająca. Dziesiętnik taki musi się zjawiać na każde wezwanie policyi rządowej i musi spełniać wszelkie zlecenia, które często zabierają wiele czasu i wymagają wielkiej pracy.

Wobec tego każdy włościanin rosyjski stara się wszelkiemi siłami, aby się gminie nie narażać. Każdy członek rosyjskiej gminy wiejskiej jest prawdziwym niewolnikiem i to niewolnikiem najgorszego gatunku, gdyż panem jego, posiadającym absolutną prawie władzę, jest ciemny i zawistny tłum — zebranie gromadzkie. Sam byłem świadkiem, jak jeden włościanin musiał przenosić piętrowy dom drewniany ze środka wioski na kraniec, gdyż gmina oddała w posiadanie komu innemu ten plac, na którym stał dom.

Przy takim ustroju gminy rosyjskiej jest rzeczą zupełnie naturalną, że włościanin rosyjski nie jest skory do żadnych innowacyi gospodarskich i wogóle do wyróżniania się w czem kolwiek od swych sąsiadów. Wiadomą jest rzeczą, że tłum nie lubi ludzi, którzy przerastają go pod jakimkolwiek względem, organizacya zaś gminy rosyjskiej jest taka, że daje tłumowi prawie absolutną władzę nad jednostką.

Wśród sfer włościańskich panuje wogóle w Rosyi nędza straszna, głód jest tam często zjawiskiem chronicznem. Pomimo sporej ilości ziemi rodzi się zboża mało, gdyż gospodarka jest

niezmiernie pierwotna. Panuje zazwyczaj system trzypolowy, sporo więc ziemi leży odłogiem, na uprawionym kawałku ziemi nie opłaca się chłopu robić jakichkolwiek nakładów, gdyż wszelkie wyróżnianie się od ogółu jest rzeczą niebezpieczną. Ulepszony kawałek ziemi może się podobać komuś, posiadającemu wpływy w gminie, i zebranie gminne odbierze mu tę działkę, a da inną. Nędza nie sprzyja rozwojowi kultury, a o polepszeniu materyalnych warunków bytu nie może być mowy przy istnieniu gminnej własności ziemi. Dopóki więc chłop rosyjski nie będzie posiadał ziemi na własność, nie można myśleć o racyonalnem prowadzeniu gospodarstwa, nie można więc zabezpieczyć ludności od głodu i wyrwać jej z ciemnoty.

Drugą plagą chłopa rosyjskiego jest solidarna odpowiedzialność za podatki gminne. Jeżeli dana gmina ma zapłacić tyle a tyle rubli podatku, to rząd nie kontroluje wcale gminy, jak ten podatek zostanie rozłożony. Chodzi tylko o to, aby cała suma została wniesiona, i rząd się w to nie wtrąca, czy ktoś zapłaci dziesięć razy więcej, niż powinien — jest to sprawa zebrania gromadzkiego. Okoliczność ta odstręcza zupełnie chłopów rosyjskich od robienia oszczędności. Gdyby sąsiedzi dowiedzieli się, że ktoś ma oszczędności, kazaliby mu więcej podatków płacić, każdy więc chłop rosyjski stara się wszelkiemi siłami, aby się nie wyróżniać od innych, a o ile robi oszczędności, czyni to w największej tajemnicy i chowa pieniądze tak, aby nikt nie mógł nawet przypuszczać ich istnienia. Ponieważ jednak przy tak pierwotnym systemie gospodarstwa rolnego dużych oszczędności robić nie sposób, najprostszą więc jest rzeczą pieniądze, o ile są, przepić. Tak też się przeważnie dzieje. Jeżeli tylko jest za co, chłop pije. Co go może obchodzić wszystko? Ziemi mu nie odbiorą, bo ona i tak nie jest jego własnością; domu mu nie sprzedadzą, bo na to nie pozwala prawo. Sprzętów mu nie ruszą, gdyż one nie przedstawiają prawie żadnej wartości. Inwentarz żywy posiada chłop rosyjski w bardzo małej ilości, zresztą wszystkiego mu nie zabiorą, bo na to nie pozwala prawo. Żyje więc chłop rosyjski w nędzy- a często i o głodzie; o przyszłości nie myśli, bo i tak nie będzie ona gorszą od teraźniejszości.

Pomimo, że podatki bezpośrednie są w Rosyi minimalne i naogół conajmniej pięć razy mniejsze niż w Królestwie, ciągłe są tam niedobory podatkowe, które często dochodzą do olbrzy-

mich sum. Gmina wprawdzie solidarnie odpowiada za podatki, ale cóż z tego, kiedy niema z czego windykować należności. Niedobory więc istnieją i z każdym rokiem wzrastają. Stan ten jest zjawiskiem tak stałem, że rząd wyrobił nawet formy urzędowe ku honorowemu wyjściu z tego położenia. Oto przy najrozmaitszych uroczystościach dworskich, jak wstąpienie na tron nowego cara, urodziny następcy tronu i t. d. i t. d., darowuje się ludności niedobory, które i tak nie mogłyby być ściągnięte.

Zdarza się jednak od czasu do czasu, że gdy nowy minister chce wykazać swą gorliwość i otrzymać order, albo też, gdy skarb państwa gwałtownie potrzebuje pieniędzy, wychodzą z Petersburga surowe rozkazy, aby zaległości podatkowe były koniecznie ściągnięte; i to w jak najkrótszym czasie. Dzieją się wtedy rzeczy okropne. Gubernatorowie i «isprawnicy» (naczelnicy powiatów), zatrwożeni o swoje posady, zabierają się do dzieła z całą bezwzględnością czynowników rosyjskich. Opowiadano mi, jak się taka czynność odbyła w pewnej gminie. Wieczorem przyjeżdża do gminy naczelnik powiatu, zwołuje wójta i dziesiętników; komunikuje im, że gmina ma tyle a tyle tysięcy rubli zaległości podatkowych i każe do jutra rana sumę tę zebrać, w przeciwnym razie będzie licytować wszystkich po kolei. Chłopi wiedzą, że to nie przelewki, zbierają się więc w nocy po wszystkich wioskach, radzą i rozdzielają pomiędzy sobą tę sumę, naznaczając na zamożniejszych więcej, na biedniejszych mniej, bo tu już o skórę wszystkich jednakowo chodzi. Niełatwo to jednak w ciągu jednej nocy taką dużą sumę zebrać. Na szczęście było w gminie kilku kapitalistów, którzy posiadali ukryte większe oszczędności. Ci więc dostarczyli innym, kupując za bezcen inwentarz żywy, zobowiązując biedaków do robocizny przez szereg lat i t. d. Rano pieniądze były doręczone isprawnikowi, ale gmina została zrujnowana i w następnych latach powstały niedobory podatkowe jeszcze większe.

Nie we wszystkich jednak gminach znajdują się kapitaliści, a zresztą pojedynczy chłop może i ma pieniądze, ale nie zawsze ufa swoim współobywatelom i woli nie zdradzać się, że gotówkę posiada; wtedy isprawnik zaczyna licytacyę inwentarza i ruchomości i sprzedaje wszystko za bezcen, gdyż rzecz prosta w braku gotówki, o dobrych cenach nie może być mowy. Często isprawnik zabiera z gminy wszystek inwentarz żywy i ruchomości, o ile te przedstawiają jaką wartość, i każe wieść

na licytacyę do gmin sąsiednich lub do powiatowego miasta, gdzie o gotówkę łatwiej. Chłopi są wtedy zrujnowani doszczętnie, a przyprowadzeni do rozpaczy stawiają nieraz zbiorowy opór władzy: dziesiątki, albo i setki ludzi idą do więzienia, a często i do katorgi.

W ostatnich jednak czasach właśnie z powodu takiej egzekucyi zaległości podatkowych wydane zostały rozporządzenia, zabraniające licytować chłopu wszystko. Pewna ilość inwentarza żywego i narzędzi rolniczych uznaną została za niepodlegającą egzekucyi.

Jak wiadomo, w państwie rosyjskiem każdy poddany, o ile wyjeżdża po za granice swej gminy, musi posiadać paszport. Paszporty takie muszą mieć wszyscy z wyjątkiem urzędników, następnie w teoryi zamiast paszportu mogą służyć dyplomy uniwersyteckie i świadectwa szlacheckie. Powiadam: «w teoryi», gdyż w praktyce i od tych ludzi wymagane są paszporty. Paszporty rosyjskie są wydawane maximum na rok jeden, a często na pół roku lub na 3 miesiące. Otrzymanie takiego paszportu jest zawsze rzeczą dość kłopotliwą i kosztowną. Dopiero przed paru laty pod tym względem porobiono pewne ulgi, a mianowicie dla klas uprzywilejowanych zaczęto wydawać paszporty bezterminowe (na kresach innowacyi tej jeszcze niema), a dla ludności włościańskiej zaczęto wydawać paszporty bezpłatne, t. j. zwolnione od podatku państwowego. Urzędnikom trzeba się często opłacać, jak i dawniej.

Paszporty te zostały ustanowione i utrzymują się w dalszym ciągu głównie z dwóch powodów. Rząd rosyjski musi wszystko i wszystkich kontrolować, istnienie więc paszportów wynika wprost z ducha systemu rządowego. Drugim powodem jest chęć utrwalenia zależności jednostek od gminy. Gdy ktoś, należący do danej gminy, wyjedzie, musi co rok w tej samej gminie odnawiać paszport. Przy tej sposobności gmina ściąga sobie wszystkie podatki, jakie na niego nałożyła. W razie nieopłacenia podatku gminnego paszport zostaje wstrzymany, a więc członek gminy musi wracać do niej, bo bez paszportu policya nie pozwoli mu mieszkać gdzieindziej. Zdarza się często, że włościanin wyemigrował ze wsi, znalazł sobie korzystne zajęcie i dorobił się majątku. Zależność od gminy daje mu się bardzo we znaki i krępuje go w jego ruchach, stara się więc o zwolnienie od gminy. Czasami udaje się to łatwo, zdarza się

jednak, że gmina każe sobie grubo za to zapłacić. Zainteresowany płacić musi, bo innej drogi niema; tylko uchwała zebrania gminnego zwalnia od zależności gminnej. Bywa jednak i tak, że gmina ma złość do danej jednostki; wtedy robi jej wszelkie możliwe szykany, a świadectwa zwalniającego wydać nie chce. Fakt następujący okazuje, do jakich to doprowadza absurdów.

Ponieważ dyplom uniwersytecki daje człowiekowi prawa stanów wolnych, więc żaden włościanin nie otrzyma go, dopóki nie przedstawi świadectwa zwalniającego. Otóż w uniwersytecie kazańskim leży od lat kilkunastu dyplom prawnika, który uniwersytet ukończył, wszystkie egzamina zdał, ale nie mógł uzyskać od swej gminy świadectwa zwalniającego, wskutek czego dyplomu mu nie wydano.

W Rosyi niema poddaństwa, ale zależność od gminy jest tam stokroć uciążliwsza, niż poddaństwo i pańszczyzna, gdyż nie pozwala wyróżniać się od tłumu, krępuje absolutnie swobodę i stawia jednostkę w zupełnej zależności od ciemnej masy, zwanej zebraniem gromadzkiem.

Nasuwa się teraz pytanie, jak włościanie rosyjscy, którzy naogół nie mają żadnych zasobów, radzą sobie np. przy budowie domu, gdzie potrzeba większego nakładu pracy, przechodzącego siły pojedyńczego człowieka. Otóż typowa chata rosyjska jest zbudowana nadzwyczaj pierwotnie i często wyłącznie tylko przy pomocy siekiery bez użycia jakiegokolwiek innego instrumentu. Dom taki łatwo rozebrać i przenieść na inne miejsce, jeżeli np. gromadą odbierze grunt i odda go komu innemu. Drzewo z takiego domu, o ile jest świeże, ma wprost wartość drzewa budulcowego, to też każdy chłop, który emigruje ze swej gminy, dom swój rozbiera i drzewo sprzedaje. Dachy i powały są robione z desek, które do niedawna były ciosane. Chcąc zbudować taką chatę, chłop ucieka się do starodawnego zwyczaju, zwanego *„pomocz“*, polegającego na zaproszeniu wszystkich krewnych swoich i sąsiadów. Przybyli pracują wtedy bezpłatnie, tylko za jedzenie i poczęstunek. Jedzenia jednak i wódki musi wtedy być obficie. Po całodziennej robocie, przeplatanej gęsto jedzeniem, zaczyna się hulanka, przeciągająca się często do rana.

Zamożniejsi chłopi, którzy wskutek swego wpływu na gromadę, mają większe i lepsze kawałki ziemi, urządzają

«pomoc» i podczas pilnych robót polnych. Biedniejsi, którzy również mają pilne roboty w polu, nigdy bogatemu nie odmawiają, a dzieje się to potrosze ze względu na dobry poczęstunek, a potrosze i z obawy narażenia się potentatowi, mającemu decydujący wpływ na zebranie gromadzkie. Przez cały więc dzień idzie robota u bogacza, przeplatana jedzeniem i piciem. Wieczorem podochoceni goście rozpoczynają hulankę, która często przeciąga się do rana. Na drugi dzień uczestnicy, naturalnie, nie bardzo są usposobieni do roboty; dzięki więc «pomocy» u zamożniejszego chłopa tracą dwa dni w najgorętszym czasie, gdy od wczesnego ukończenia robót zależy nieraz, czy chłop będzie miał co jeść w zimie, czy nie. Zwolują często «pomoc» i biedacy, ale zjawiają im się najwyżej najbliżsi krewni tylko. A więc zwyczaj ten w zasadzie piękny, wychodzi ostatecznie na korzyść zamożniejszych, z wyraźną nieraz stratą biedaków.

Wspólna własność ziemi i solidarna odpowiedzialność za podatki nie zachęcają chłopa rosyjskiego do oszczędności i robienia zapasów na czarną godzinę. Gdy więc urodzaj jest gorszy, to nieraz zabraknie zboża i na zasiew. Pole leży wtedy odłogiem, albo jest obsiane niedostatecznie, przez co naturalnie i w następnym roku zbiory nie mogą być ofite. Otóż dla zapobieżenia takim wypadkom rząd zorganizował spichrze gromadzkie. Obecnie na skraju każdej prawie wioski rosyjskiej stoi spichrz, do którego w jesieni chłopi muszą zwozić pod groźbą egzekucyi określoną ilość zboża z pierwszego omłotu. Na wiosnę zboże ze spichrza wydaje się chłopom na zasiew. Dzięki tym spichrzom ma chłop przynajmniej zawsze zapewnione zboże na zasiew. Bardziej mu może czasami zato dokuczać głód w zimie, lub na przednowku, ale to znowu inna sprawa. Spichrze mają tę ujemną stronę, że do reszty odzwyczajają chłopa rosyjskiego od zapobiegliwości i oszczędności.

Chłop rosyjski wogóle jest uważany za bardzo złego kolonizatora. Jestto rzeczą naturalną, gdyż nie posiadając wcale ziemi na własność, nie przywiązuje się do niej i przyzwyczaił się prowadzić gospodarkę pierwotną bez żadnych nakładów. Ludność wiejska w Rosyi bardzo chętnie przerzuca się z miejsca na miejsce, wędruje na Syberyę, a gdy jej się tam nie powodzi, po paru zmianach miejsca powraca. Gmina w zasadzie sprzyja takiej emigracyi, gdyż w ten sposób zabezpiecza się od

przeludnienia, a tem samem i od zbytniego rozdrabniania działek.

Religia prawosławna, gdy się ją obserwuje u dołu, przedstawia bardzo wiele ciekawych osobliwości, wypływających z dwóch przyczyn: 1) opanowania jej przez rząd carski i 2) ciemnoty duchowieństwa.

Autonomia kościoła prawosławnego została ostatecznie złamana za panowania Piotra Wielkiego. Obecnie sprawami prawosławia kieruje t. z. «najświętszy synod» z cywilnym urzędnikiem na czele, t. zw. ober-prokuratorem synodu. Wszystkich wyższych dostojników cerkiewnych mianuje car. Nawet rzeczy dogmatyczne, jak np. kanonizacya świętych prawosławnych, muszą otrzymać sankcyę carską i dopiero wtedy stają się obowiązującemi. Prawosławie w teraźniejszej swojej formie jest poprostu organizacyą urzędniczą, niczem prawie nie różniącą się od innych wydziałów ministeryum spraw wewnętrznych. Duchowieństwo i całe wogóle prawosławie jest tak zorganizowane, że służy wyłącznie celom rządu.

Spowiedź w prawosławiu służy do śledzenia prawomyślności poddanych. Prawo kanoniczne nakazuje popom donosić władzom, gdy się dowiedzą na spowiedzi o jakichkolwiek zamysłach antypaństwowych. Jednocześnie każdy urzędnik, każdy oficer obowiązany jest pod groźbą utraty posady spowiadać się raz na rok, zwyczajnych zaś śmiertelników do spowiadania się raz na rok zmusza duchowieństwo przy pomocy policyi. Miałem kilku dobrych znajomych Rosyan, z których jeden (urzędnik) przyznał mi się, że pierwsze pytanie, jakie mu zadaje pop spowiednik, jest następujące: «czyś nie zamyślał czego przeciw państwu?» To też, powiadał ów urzędnik, spowiedź traktuje się wśród urzędników, jako czynność oficyalną, narówni np. z obowiązującą wizytą u zwierzchnika.

Przed paru laty gazety rosyjskie doniosły, że w Petersburgu pop zadenuncyował zwykłego zabójcę, gdy ten przyznał się do zbrodni na spowiedzi. Pop widocznie po swojemu kwalifikował przestępstwa polityczne i zwykłe morderstwo zaliczył da tej kategoryi, w której donoszenie jest obowiązkowe.

Gdy się jest w cerkwi na jakiemkolwiek nabożeństwie, co chwila słyszy się modły za cara, carycę, panujący dom i t. d. Pamiętam, jak jedna francuzka nie mogła wyjść z podziwu, gdy podczas jakiegoś nabożeństwa naliczyła, że aż sie-

dem razy odmawiano modły za cara. W najuroczystszej chwili liturgii, mianowicie w czasie podniesienia, rozlegają się modły tylko za cara.

Podczas kazań nie wolno popom tak, jak i naszym księżom w zaborze rosyjskim, poruszać żadnych tematów, niepożądanych dla rządu. Opowiadano mi, że za panowania Mikołaja I, gdy z finansami państwowymi było krucho, karani byli surowo ci popi, którzy w kazaniach powstawali przeciw pijaństwu, gdyż kazania takie mogły wpłynąć ujemnie na dochody skarbowe z wódki.

Pozatem prawosławie wyróżnia się z pośród innych wyznań chrześcijańskich usłużnością i nadzwyczajnemi ułatwieniami w posługach religijnych. Wpływały na to, jak mi się zdaje, dwie okoliczności: 1) obawa, aby nie zrazić wiernych do religii państwowej i 2) zależność materyalna duchowieństwa od parafian. W Rosyi istnieje olbrzymia ilość cerkwi, jedna parafia wypada najwyżej na jakieś 5 tysięcy mieszkańców, przy każdej zaś prawie cerkwi jest dwóch popów i djak. Każdy pop ma swego własnego organistę *psałomszczyka* i *proswirnicę*, która piecze bułeczki, służące po poświęceniu do komunii zamiast naszych opłatków. Popi, djaki i *psałomszczyki* są to ludzie żonaci, mający zazwyczaj bardzo dużo dzieci. *Proswirnica* to zazwyczaj wdowa z licznem potomstwem. W bardzo nielicznych i wyjątkowo biednych parafiach popi pobierają pensyę, nie przekraczającą 300 rubli rocznie. Zazwyczaj zaś jedynem źródłem ich utrzymania są dochody z parafii. Gdy dodamy do tego wydatki na cerkiew, światło, stróżów cerkiewnych i t. d., to zrozumiemy jasno, jaki to olbrzymi haracz musi płacić ludność prawosławna na duchowieństwo i cerkwie. Wszystkie posługi religijne, jak śluby, pogrzeby, nabożeństwa i t. d., nie wyłączając nawet spowiedzi, są płatne. Oprócz tego popi starannie podtrzymują kult zmarłych, w pewne dnie, conajmniej 3 razy do roku, ludność odwiedza gremialnie cmentarze i udaje się tam z zapasami żywności, które spożywa na grobach swych blizkich.

Na cmentarz przychodzą i popi, święcą jedzenie, za co zabierają część tegoż dla siebie, oraz odmawiają krótką modlitwę nad grobem za specyalną opłatą. Pozatem popi korzystają z każdej sposobności, aby módz zapukać do kieszeni parafian, objeżdżają wieś na Boże Narodzenie, na Wielkanoc; trzy razy do roku pop osobno, a za nim djak, *psałomszczyk* i *proświrnica*

jeżdżą po parafii zbierać dziesięcinę; nazywa się to *„sobirat' rugu“* (zbierać łajanie), gdyż przy tej sposobności parafianie często występują do popów z rozmaitemi pretensyami, opierając się często opłacie.

Istnieje nadto cały szereg innych sposobów zbierania pieniędzy, a do najskuteczniejszych należą t. zw. *molebny,* krótkie modlitwy odprawiane przy wszelkich okazyach i we wszelkich możliwych miejscach.

Słynny jarmark w Niżnym Nowogrodzie odbywa się w specyalnej dzielnicy, która przez zimę stoi pustkami. Otóż na wiosnę co rok wszystkie gmachy jarmarczne są poświęcane, popi odprawiają *molebny*, przyczem nie omija się lokali, zajmowanych przez domy publiczne.

Jak się zachowuje względem prawosławia lud rosyjski? Na mnie robiło to zawsze takie wrażenie, że lud przestrzega tylko form, ale ducha niema tam wcale. Nabożeństwo prawosławne jest tak uprzystępnione, że np. za 20 groszy można kazać popu o każdej porze dnia i nocy pójść do cerkwi i odprawić *moleben.* Wobec tego rola wiernych ogranicza się do strony biernej, t. j. wysłuchania modlitw, odmawianych przez popa, kilkakrotnego przeżegnania się lub złożenia paru pokłonów. Chłopi żegnają się przed każdym obrazem, a przed niektórymi stawiają świeczki, zakupione za własne pieniądze, dają na liczne *molebny*, dbają o to, aby, broń Boże, dziecko nie umarło bez chrztu, a dorosły bez komunii, obserwują skrupulatnie posty, i na tem koniec. W niedzielę i święta bardzo często można widzieć chłopów prawosławnych przy pracy [1]), zresztą na to nieposzanowanie świąt może wpływać również i ta okoliczność, że dnie galowe (imieniny i urodziny cara, carycy i następcy tronu, rocznica koronacyi i t. d.) cerkiew prawosławna obchodzi równie uroczyście, jak i święta kościelne. Może więc w mózgownicach wiernych wytworzyć się pomieszanie co do świąt wogóle.

Stosunek ludu do duchowieństwa jest potworny. Gdy pop przejdzie przez drogę, zwiastuje to niepowodzenie w zamysłach. Chcąc się od tej złej wróżby uwolnić, należy trzy razy splunąć, albo też rzucić w stronę popa nawozem. Niezawodnym środkiem uwolnienia się od pluskiew, które są prawie we wszyst-

---

[1]) Gdy w Królestwie włościanie unici i zatrudniający ich obywatele są za pracę w święta prawosławne surowo karani.

kich izbach chłopskich, jest taki: gdy pop znajduje się w izbie, należy wpuścić pod podszewkę popiej czapki trzy pluskwy tak, aby pop tego nie spostrzegł i włożył na czapkę wraz z pluskwami. Wszystkie pluskwy zginą wtedy z mieszkania. *„Pakłatyj czort“* (kudłaty dyabeł), *„dołgogriwyj“* (dlugogrzywy) — są to najczęstsze określenia popa w rozmowie potocznej.

Podczas odpustów wioskowych, gdy zacznie się pijaństwo i hulanka (prawdziwe święto bez pijaństwa obyć się nie może), popi zamykają okienice w swoich domach i starają się nie wychodzić wcale z mieszkania, gdyż wybicie szyb popu, lub wogóle wypłatanie mu jakiego dotkliwego figla należy do zwykłych przyjemności. Na polepszenie stosunku ludu do popów trudno rachować i w przyszłości. Utrzymanie licznych rodzin duchowieństwa i służby cerkiewnej nakłada zbyt wielki haracz na ludność włościańską, która sama często nie ma co do ust włożyć. Przytem w większości wypadków i popi sami ani swem życiem, ani postępowaniem nie wzbudzają szacunku wśród parafian. Popi upijają się narówni z chłopami, zdarza się nawet często, że pop pijany upadnie i leży w błocie na ulicy ku uciesze swych parafian. Umieszczanie dwóch popów przy jednej cerkwi daje bardzo często powód do najrozmaitszych niesnasek. Dochodzi często, najczęściej z powodu żon lub dzieci, do scen gorszących pomiędzy popami, nawet w samej cerkwi. Naturalnie nie wpływa to dodatnio na podniesienie powagi duchowieństwa.

Wobec takiego stanu prawosławia i przy uprzystępnieniu pisma świętego, którego chłopi słuchają w cerkwi i które sami czytają w języku staro-słowiańskim, a więc mało zrozumiałym dla ludu, istnieje w Rosyi mnóstwo odstępców. Wszystkie prawie sekty, które oddzieliły się od prawosławia, powstały nie na tle jakichś różnic ideowych, lecz wyłącznie obrzędowych. Ktoś wynalazł np. w piśmie świętem argument na to, że należy się żegnać, dajmy na to, nie trzema palcami, lecz dwoma, głosi więc, że popi sfałszowali prawdziwą wiarę, znajduje łatwo jeszcze parę innych zarzutów, inni dają się przekonać, i sekta jest gotowa, Rząd rosyjski utrzymuje liczne szkoły misyonarskie, których wychowańcy mają obowiązek nawracać sekciarzy na prawosławie. Nawracanie to jednak nie daje rezultatów, gdyż cała dyskusya toczy się na podstawie cytat z pisma świętego o rozmaitych formach i obrzędach, a pod tym względem bardzo trudno jest przekonać się wzajemnie. Jak dalece dyskusye takie

odbiegają od zasadniczej nauki Chrystusa o miłości bliźniego, może przekonać często spotykany fakt, że po dyskusyach misyonarskich powstają bójki pomiędzy prawosławnymi a sekciarzami.

Inteligencya rosyjska nie zajmuje się wcale religią. Urzędnicy np. chodzą do cerkwi na galówki, gdyż muszą to czynić (niechodzenie do cerkwi w galówkę jest uważane za objaw nielojalności, a to grozi utratą posady), raz na rok spowiadają się (listy spowiadających się są prowadzone bardzo starannie), a pozatem religia obchodzi ich bardzo mało. Dociekaniom religijnym oddają się prawie wyłącznie ludzie ciemni, którzy na podstawie pojedynczych zdań pisma świętego, tworzą sobie często całe systematy religijne. Często też założyciele sekt bywają obłąkani. Przy ogólnej ciemnocie nowi prorocy łatwo znajdują zwolenników.

Rząd karze renegatów bardzo surowo. O ile komuś wytoczą proces o odstępstwo od prawosławia (w ostatnich czasach rząd stara się nie dopuszczać do takich procesów, załatwiając się z odstępcami administracyjnie), bywa wtedy karany zesłaniem na Syberyę, do ciężkich robót. Kary tak surowe szerzą wprawdzie popłoch i odstraszają tchórzliwszych, z drugiej jednak strony otaczają skazanych aureolą męczeństwa i dodają jeszcze większej powagi sekcie.

Niektóre sekty istnieją tylko dzięki poparciu bogatych protektorów. Wielu włościan sekciarzy, którzy dorobili się majątku, popiera swoich współwyznawców, dając im zapomogi, płacąc za nich podatki i t d., spora więc ilość włościan przystępuje do sekty wprost z wyrachowania. Podobno siedliskiem protektorów rozmaitych sekt jest Moskwa, a mianowicie jej sfery kupieckie.

Do najstraszniejszych plag ludu rosyjskiego należy syfilis. Jest on ogromnie rozpowszechniony w całej Rosyi. Są wioski nad Wołgą, gdzie literalnie niema ani jednego zdrowego człowieka. Niestety choroba ta zaczyna się obecnie szerzyć w zastraszający sposób i w Królestwie. Roznoszą ją żołnierze, którzy odbywali powinność wojskową w głębi Rosyi, oraz oficerowie i szeregowcy pułków, konsystujących w Królestwie.

Pomimo niejednego dodatniego rysu natury chłopa rosyjskiego na szybki jego postęp kulturalny nie można liczyć. Jest on zbyt ciemny i zbyt biedny, a oprócz tego zależność od gminy nie pozwala mu dojrzeć, gdzie tkwi główne źródło jego niedoli.

Zesłaniec.

Z CAŁEJ POLSKI.

Solidarność poselska w zaborze pruskim. Jedność polityki narodowej. Wiec narodowy i przedwyborczy komitet centralny. Nauczyciele ludowi w Królestwie.

Kilka lat temu zajmowaliśmy się bardzo szczegółowo w piśmie naszem sprawą solidarności poselskiej. Zasada solidarności bezwzględnej przedstawicielstwa polskiego była wówczas poważnie zakwestyonowana, a następnie faktycznie złamana w zaborze austryackim. Jak wiadomo, solidarność przedstawicicielstwa polskiego w Wiedniu nie została dotychczas przywrócona, pomimo zabiegów jej zwolenników: kilku posłów polskich z Galicyi (trzej ludowcy i p. Breiter) nie należy do Koła. Na razie sprawa tego rozłamu nie ma poważnego znaczenia wobec słabości secesyonistów, z którymi nikt się nie liczy, ale to nie znaczy, że ta sama kwestya nie nabierze znów doniosłości przy najbliższych wyborach, że rozstrzygnięcie jej nie stanie się zadaniem bardzo pilnem i ważnem. Dziś bowiem to zadanie nie jest wcale rozstrzygnięte, załatwiono sprawę sporną formalnie i takiem załatwieniem zadowolniono się tymczasowo do chwili nowego niebezpieczeństwa. Teraz znowu sprawa solidarności poselskiej wypływa na porządek dzienny, ale już nie w Galicyi. tylko w zaborze pruskim, gdzie ją podniósł poseł poznański, p. Bernard Chrzanowski. Sprawa, postawiona tak, jak ją p. Chrzanowski postawił, porusza nietylko zasadę solidarności poselskiej, ale wiąże się ściśle z programem i zadaniami polityki narodowej w zaborze pruskim. Konserwatyści nasi zarówno w Galicyi, jak w zaborze pruskim, tendencyjnie utożsamiają solidarność poselską z solidarnością narodową. Tymczasem p. Chrzanowski dowodnie wykazuje, że właśnie bezwzględne stosowanie zasady solidarności poselskiej w sprawach społeczno-ekonomicznych rozbija solidarność narodową. Chodzi w danym wypadku o sprawę podwyższenia ceł zbożowych. Poselstwo polskie w Berlinie, przeważnie z przedstawicieli większej własności złożone, jest skłonne głosować za podwyższeniem ceł, przeciw czemu oświadcza się opinia kół ludowych. P. Chrzanowski łatwo mógł wykazać, że to nie jest wcale sprawa narodowa, bo przypuściwszy nawet, że podwyższenie ceł byłoby korzystnem dla ogółu ludności polskiej w zaborze pruskim, zaprzeczyć nie można szkodliwości tej podwyżki dla innych części Polski, zwłaszcza dla Królestwa.

Gdyby się więc sprawę postawiło na gruncie interesu narodowego i zestawiło zyski i straty dla całego narodu polskiego, posłowie polscy w Berlinie powinni bezwarunkowo przeciw podwyższeniu ceł głosować.

Jeżeli w Galicyi, przynajmniej w pewnych wypadkach, mówić można o interesie ekonomicznym kraju, jako jednej całości, to w zaborze pruskim w każdej niemal z czterech prowincyi, w których mieszka ludność polska, układ stosunków społecznych i gospodarczych jest zupełnie inny, a interes narodowy w odmiennej przedstawia się postaci. Następnie, nawet w tej dzielnicy, która ton polityce polskiej w zaborze pruskim nadaje, mianowicie w Poznańskiem, zmienił się znacznie układ stosunków społecznych i gospodarczych. Polska własność większa coraz mniejszą odegrywa rolę w życiu narodowem, coraz wybitniejszy bierze w niem udział dorabiające się mieszczaństwo polskie i wogóle warstwy ludowe. Walka narodowa, jaką społeczeństwo polskie toczyć musi, osłabia antagonizmy społeczne. Więc ziemiaństwo, można powiedzieć, za zgodą ogółu, utrzymuje przedstawicielstwo polityczne społeczeństwa polskiego w tej dzielnicy, która staje się coraz bardziej społeczeństwem chłopskiem i robotniczem, żyjącem z pracy zarobkowej.

Poseł Chrzanowski w liście swym podnosi przedewszystkiem wątpliwości praktyczne. Jeżeli Koło — powiada — będzie solidarnie za podwyższeniem ceł głosowało, to jak się zachowa społeczeństwo?...

«Oto przyklaśnie Kołu przeważna część właścicieli większej własności i znaczniejszych gospodarzy, obojętnym zostanie zamożny kupiec, a nadto nieraz i robotnik wiejski żyjący pod panem z udzielanych mu płodów surowych; przeciw Kołu podniosą się z goryczą najliczniejsze głosy — małych gospodarzy i chałupników (Kaszuby), rzemieślników i robotników po miastach (stolica Poznań), robotników fabrycznych i kopalnianych (emigracya i Ślązk).

«Czy mają oni ze swego stanowiska słuszność? Nikt chyba nie zaprzeczy, że im cła na zboże pożytku nie przyniosą, a trudno wymagać od nich, tych najbiedniejszych, aby dla bądź co bądź wątpliwego ratowania tych, którym strawy w każdym razie nie braknie, poświęcali się z przekonania i odejmowali sobie ze spokojem to, czego przecież bezwątpienia ani do zbytku, ani nawet nieraz do syta nie mają. Każdy kęs chleba mniej u głodnych i każdy wysilek więcej u spracowanych winien przechylać szalę postanowienia ku ich stronie.

«Słyszę, że to idealizm i sentymentalizm, dla którego w sprawach ogółu niema miejsca! że *salus reipublicae suprema lex* — najwyższem prawem ratunek społeczeństwa!

«Czy to jednak rzeczywiście ratunek «społeczeństwa» ekonomiczny, nie wiem: a któż wobec poważnych zdań przeciwnych tak wszystkie rozumy posiadł, że wie to na pewno? a jeżeli wreszcie

o praktyczność chodzi, to obawiam się właśnie przeciwnie z takiego przymusowego głosowania wszystkich przeciw interesom konsumentów zboża, rzeczywistych szkód narodowych dla całego społeczeństwa

«Oto najpierw — u wszystkich nas prawie są na ustach słowa o potrzebie łączności a szkodliwości jątrzenia, o konieczności zgodnego występowania wszystkich części społeczeństwa razem.

«Przy sprzecznych interesach polega jednak zgoda na wzajemnych ustępstwach; my zaś chcąc zgody na *votum* solidarne za cłami, żądamy zupełnego poddania się i zaparcia się siebie od łaknących. Czy takie stawianie sprawy czysto ekonomicznej na ostrzu nie wniosłoby zbytecznego na dziś fermentu w nasze społeczeństwo?...

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa w stosunku do Górnego Ślązka. P. Chrzanowski przypomina, co najpoczytniejsze z pism śląskich mówiło, że posłowie, przez lud górnoślązki wybrani, nie mogliby wstąpić do Koła, ponieważ w sprawach społeczno-ekonomicznych rządzi się ono zasadą bezwzględnej solidarności. Ruch narodowy na Górnym Ślązku dwa ma dziś hasła bojowe: precz z centrum i precz z cłami zbożowemi. Pod temi hasłami odbywa się agitacya, której wynikiem będzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wybór kilku posłów polskich. Nie mogliby oni wstąpić do Koła, któreby za podwyższeniem ceł solidarnie głosować musiało, nie przeniewierzając się swoim wyborcom. Podobne przeciwieństwa ciągle się będą powtarzały i jedynym środkiem, jeżeli nie usunięcia, to przynajmniej złagodzenia ich jest rozluźnienie zasady solidarności poselskiej bodajby w sprawach ekonomicznych. Bezwzględne jej przestrzeganie rozbiłoby solidarność narodową Górnego Ślązka z Poznańskiem. A przecie ściślejsze zespolenie tej przed wiekami oderwanej dzielnicy z prowincyami, mającemi jeszcze żywą polską tradycyę kulturalną i polityczną, jest sprawą ważniejszą, niż niedogodności, które wynikać mogą z częściowego osłabienia zasady solidarności społecznej.

Te sfery, mając jeszcze poniekąd wyłączny przywilej kierowania polityką narodową w zaborze pruskim, powinny poważnie się rachować z konsekwencyami przeobrażeń społecznych i z faktem coraz większego udziału w życiu narodowem tych prowincyi, w których żywioł polski jest żywiołem ludowym, a sprawa polska — sprawą ludności pracującej. W zaborze pruskim przeciwieństwa interesów społecznych i ekonomicznych nie mają obecnie ostrego charakteru, nie należy więc ich wywoływać. Ruch narodowy, będący w znacznej mierze ruchem ludowym, nie występuje zasadniczo przeciw przedstawicielstwu dotychczasowemu, godzi się nawet na pozostawienie przedsta-

wicielstwa tym kołom i tym warstwom społecznym, które je dotychczas sprawowały. Ale musi to być prawdziwe przedstawicielstwo interesów większości narodowej, nie zaś interesów jednej klasy. Ta klasa właścicieli ziemskich, która chce utrzymać ster polityki polskiej w zaborze pruskim, ma niezaprzeczone zasługi wobec sprawy narodowej, ma tradycyę i rutynę polityczną, zazwyczaj, chociaż nie zawsze cenną. Ale zarazem jest klasą pod względem społecznym i ekonomicznym upadającą, nawet w Poznańskiem, gdzie jeszcze najpoważniejsze zajmuje stanowisko. Sfera zaś jej interesów w całokształcie życia narodowego w zaborze pruskim stanowi już dziś bardzo skromną pozycyę. Na Ślązku i w Prusiech Wschodnich niema wcale polskiej własności ziemskiej, w Prusiech Zachodnich obejmuje ona zaledwie 10% obszaru tej kategoryi posiadłości i skupia się w ręku 100 zaledwie rodzin.

Żywioł tak słaby społecznie i liczebnie może czas jakiś jeszcze sprawować reprezentacyę polityczną ludności polskiej, ale tylko reprezentacyę w zwykłem znaczeniu tego wyrazu i tylko pod warunkiem podporządkowania swych interesów klasowych interesom ludowym. Położenie polityczne narodowości polskiej w państwie pruskiem, wymagające jedności i zgodności działania wszystkich czynników narodowych pod grozą narażenia sprawy publicznej na poważne niebezpieczeństwo, zapewnia warstwie ziemiańskiej zachowanie dotychczasowego stanowiska, nie odpowiadającego już zmienionemu stosunkowi sił społecznych. Musi jednak ta warstwa postępować bardzo ostrożnie, musi pogodzić się z powolną, lecz konieczną likwidacyą swego wpływu i znaczenia, musi coraz bardziej uwzględniać żądania i interesy warstw ludowych, jeżeli chce uniknąć ostrego starcia, któreby strąciło ją z zajmowanego stanowiska, a zarazem zaszkodziło sprawie publicznej.

Pod hasłem jedności polityki narodowej zaczyna się obecnie ożywiona akcya w Galicyi, a raczej dwie akcye równoległe. Wyrazem jednej z nich jest zamierzony wiec narodowy, wynikiem drugiej reorganizacya osławionego Komitetu centralnego, którego zadaniem było przeprowadzanie wyborów rzekomo w duchu narodowym, właściwie zaś na korzyść stronnictw rządzących w kraju. Komitet centralny pragnie, jak zapewnia, stać się przedstawicielstwem wszystkich stronnictw narodowych, ale zasada, na której stoi i organizacya jego czynią to niemożli-

wem. Taka instytucya, bez względu na jej skład i metodę jej działania, nie odpowiada już dziś warunkom i potrzebom naszego życia politycznego.

Nie znaczy to wcale, że dziś i właśnie dziś nie jest potrzebną ścisła solidarność przedstawicielstwa polskiego w Wiedniu, ale należy ją na innych oprzeć zasadach; nie znaczy też wcale, że w kraju wobec niebezpieczeństwa narodowego nie jest potrzebną instytucya, którаby utrzymywała solidarną akcyę wszystkich stronnictw. Słowem potrzebny jest nie Komitet centralny dla całego kraju, ale polski Komitet wyborczy dla Galicyi wschodniej. Taki tylko komitet mógłby zjednoczyć wszystkie stronnictwa narodowe, pod warunkiem jednak niezaniechania walki partyjnej w zachodniej części kraju, bo ta walka jest dziś koniecznością życia politycznego, ale pod warunkiem nienadawania jej charakteru narodowego, którego nie ma w istocie.

Nie mogę znaleźć rozumnej przyczyny, którаby wyjaśniała upieranie się stronnictw konserwatywnych przy Komitecie centralnym dla całego kraju, skoro ta instytucya wywołuje tak silne niezadowolenie stronnictw opozycyjnych, że niektóre z nich zniesienie jej uważają za niezbędny warunek popierania przez nie zasady solidarności narodowej przy wyborach w Galicyi wschodniej. Bo przecie nie istnienie Komitetu centralnego daje przewagę kandydaturom konserwatywnym, ale władza i wpływy, jakie posiadają.

Stronnictwa opozycyjne, mówiąc otwarcie, łudzą się, jeżeli sądzą, że zniesienie Komitetu centralnego wzmocniłoby ich stanowisko polityczne przy wyborach, uniemożliwiłoby nadużycia, popełniane obecnie przez stronnictwa rządzące. Te stronnictwa nie zrezygnowałyby przecie z wpływów swoich, z poparcia, jakiego im władze krajowe i państwowe użyczają, ze środków materyalnych, które posiadają. Zrezygnowałyby tylko z nazwy «narodowe» dla swych kandydatur klasowych i partyjnych. To wprawdzie coś znaczy, ale nie tyle, ile się nazwie tej przypisuje. Bo niewielu chyba jest takich naiwnych, nawet w najnaiwniejszem politycznie drobnem mieszczaństwie, którzyby nie wiedzieli, zwłaszcza w Galicyi zachodniej, że kandydatura narodowa oznacza poprostu kandydaturę konserwatywną. Starostwa i rady powiatowe, kahały i inne podobne czynniki, tak samo gorliwie popierałyby kandydatów konserwatywnych pod jakąkolwiek inną firmą, jak dziś popierają ich pod firmą narodową.

Nie wątpimy, że znajdą się tacy, którzy uwagi nasze nazwą cynicznemi, bo ludzie, operujący fikcyami i frazesami, nie lubią patrzać w oczy prawdzie realnej. Dla uniknięcia podobnych zarzutów zaznaczamy kategorycznie, że nie usprawiedliwiamy bynajmniej nadużyć wyborczych i nie twierdzimy, że zwalczanie ich jest niemożliwem. Przeciwnie zwalczać je należy najenergiczniej nie dlatego, że są dla stronnictw zachowawczych korzystne, a dla demokratycznych i postępowych szkodliwe, ale dlatego, że znieprawiają nasze życie publiczne, gwałcąc zasadnicze podstawy praw i swobód obywatelskich i poniżając godność ludzką.

Istnienie Komitetu centralnego nie jest przyczyną istnienia nadużyć, i zniesienie tej instytucyi bynajmniej ich nie wytępi, z drugiej zaś strony nie jest bynajmniej nieodzownym warunkiem przewagi stronnictw rządzących. A skoro tak jest, skoro stronnictwa opozycyjne domagają się zniesienia instytucyi, nie mającej dla konserwatystów uzasadnionej racyi bytu, to, powtarzamy, pojąć nie możemy, dlaczego ci ostatni się przy niej upierają. I to dziś właśnie, gdy stworzenie jakiejś instytucyi, mającej podobne zadanie, jakie miał niegdyś w chwili swego powstania Komitet centralny, chociaż na innych zasadach opartej, staje się naglącą potrzebą narodową w Galicyi wschodniej.

Jak powiedzieliśmy, pod hasłem jedności narodowej, i to nietylko wobec sprawy ruskiej, idą dziś dwie akcye równoległe, które powinny zlać się w jedną, ale, jeżeli nawet się nie zleją, mogą mieć znaczenie dodatnie w naszem życiu publicznem.

Jak się rozwinie akcya w sprawie wiecu narodowego, zawcześnie dziś jeszcze byłoby przesądzać. Wymaga ona wielkiej wytrawności i przezorności od tych, którym kierowanie nią powierzono, jest bowiem pierwszą próbą politycznego współdziałania różnych stronnictw, dotychczas chodzących luzem i mających nietylko różne metody, ale różne nałogi postępowania. Musi walczyć kierownictwo tej akcyi z właściwem każdemu tego rodzaju przedsięwzięciu dążeniem do rozszerzenia swych zadań, bo tylko w świadomie ograniczonym zakresie może mieć próba powodzenie i zachować charakter poważny.

Na zwołanym przez Komitet centralny zjeździe wdrożono równoległą akcyę, która, jak się już okazało, do porozumienia się wszystkich stronnictw nie doprowadzi, ale ma wielką donio-

słość jako poważna próba unarodowienia, że tak powiemy, polityki konserwatywnej.

Zaostrzenie się antagonizmu polsko-ruskiego przechyliło szalę na stronę przedstawicieli tego kierunku w obozie konserwatywnym, którzy wobec rozstroju stosunków wewnętrznych monarchii i wobec coraz wyraźniejszego objawiania się opinii publicznej w kraju chcieli nadać polityce galicyjskiej charakter bardziej polski.

Strajk rolny przekonał, przynajmniej wschodnio-galicyjskich konserwatystów, że chcąc ocalić swoje zagrożone stanowisko polityczne i społeczne, muszą szukać oparcia w ludzie polskim, w jego budzącej się samowiedzy narodowej, w zsolidaryzowaniu bodaj częściowem swego interesu klasowego z interesem narodowym.

Zjazd, zwołany przez Komitet centralny, mowy, wygłoszone na tem zebraniu i żywe rozprawy świadczą, że ten przewrót w poglądach politycznych, jeżeli nie jest faktem dokonanym, to już się poważnie objawia.

Naszem zdaniem jest to fakt wielkiej wagi. Niektóre pisma demokratyczne rzuciły się na *Słowo polskie* za powiedzenie, że tylko konserwatyści mogą nadać polityce galicyjskiej charakter narodowy. Można nad tem ubolewać, ale zaprzeczyć nie można, że stronnictwo konserwatywne ma nietylko wpływ przeważny na realną politykę galicyjską, ale ono ją jedynie prowadzi. Polityka innych stronnictw jest niemal wyłącznie walką, i to zazwyczaj mało skuteczną, z przewagą, z monopolem nawet stronnictwa konserwatywnego.

Oprócz demokracyi narodowej, «wszechpolskiej», która jednak dotychczas nie brała bezpośredniego udziału w życiu publicznem, chociaż pośrednio wpływ na nie już wywiera, niema stronnictwa w Galicyi, któreby posiadało swój własny program polityki narodowej, program pozytywny i realny.

W poprzedniej kronice mówiłem, iż rząd rosyjski, rozumiejąc coraz lepiej niebezpieczeństwo, jakie dla niego przedstawia budząca się samowiedza narodowa ludu, zwrócił szczególną uwagę na szkoły ludowe. Świadczy o tem agitacya, przez rząd prowadzona, ażeby t. zw. szkoły wiejskie zamieniano na gminne, na które ludność ma według prawa wpływ znacznie mniejszy. Agitacya ta nie miała powodzenia, chociaż przemawiała do interesów materyalnych ludu, wydatek bowiem na

szkoły gminne ponoszą narówni z gromadami włościańskiemi obszary dworskie, na szkoły zaś wiejskie płacą sami włościanie. W wielu miejscowościach, gdzie włościanie o właściwym celu projektowanej zmiany byli poinformowani należycie, oświadczali się oni za szkołami wiejskiemi lub wogóle przeciw wszelkim szkołom.

Zresztą nawet szkoły gminne, na które ludność wiejska bądź co bądź pewien wpływ wywierać może według prawa, nie wydają się rządowi rosyjskiemu dla celów jego odpowiedniemi, ani personal nauczycielski, chociaż tresowany w seminarych rządowych przez pedagogów moskiewskich — dość pewnym.

Położenie nauczycieli wiejskich w Królestwie jest zaiste straszne. Od dzieciństwa niemal dostają się w kleszcze potwornego systemu, który znieprawia ich dusze, poniża ich godność i łamie charaktery. Po wyjściu ze szkoły i otrzymaniu lichej posady są ciągle dozorowani i brutalnie przez władzę swoją traktowani, lud im nie dowierza, a inteligencya ich odtrąca. Uposażenie ich wreszcie jest bardzo liche a marna pensya kolegi galicyjskiego jest dla nauczyciela w Królestwie niedościgłym ideałem.

Rząd rosyjski wogóle nauczycielom polskim nie wierzy i chciałby ich zastąpić Moskalami, ale chociaż swoim daje lepsze wynagrodzenie, dotychczas znaleźć nie mógł dostatecznej liczby kandydatów. Teraz jednak i koło tej sprawy zakrzątnęły się władze warszawskie.

W celu zupełnego usunięcia szkół ludowych z pod wpływu gmin, rząd zamierza, jak już dawniej pisałem, znieść specyalne opłaty szkolne, a raczej włączyć je do projektowanego podatku ziemskiego. W ten sposób szkoły wiejskie i miejskie, przez rząd utrzymywane, od niego będą tylko zależne. Zwracam uwagę raz jeszcze na tę sprawę, bo zdaje mi się, że inteligencya nasza w Królestwie nie rozumie charakteru i doniosłości zamierzonej reformy.

Do nowych szkół rząd przygotowuje sobie nowych nauczycieli. Donoszą nam z Jędrzejowa, w gubernii kieleckiej, że do miejscowego seminaryum przyjęto w roku bieżącym 15 kandydatów Moskali, a tylko 10 Polaków. Zapewne w innych seminaryach zrobią to samo. Wielu z tych kandydatów sprowadzono umyślnie z Rosyi. Walka ze szkołą i oświatą rządową jest naj-

ważniejszem dziś zadaniem polityki narodowej w Królestwie. W tym zakresie musimy skupić i wytężyć wszystkie nasze siły, bo wygrana na tem polu zadecyduje o zwycięztwie na wszystkich innych.

J. L. Jastrzębiec.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Sprawy bliższego Wschodu.

Od czasu wojny chińsko-japońskiej «Daleki Wschód» stał się tak ważnym teatrem międzynarodowej gry politycznej, że sprawy półwyspu Bałkańskiego, który mieścił w sobie główne źródło kłopotów dyplomacyi i najpoważniejszą groźbę dla pokoju, zeszły na plan dalszy.

Kwestya wschodnia w rozumieniu dawniejszem obejmowała losy państwa Otomańskiego, głównie zaś jego europejskich posiadłości, i taką ją wiekowi ubiegłemu przekazał jego poprzednik. Nim jednak dla zgrzybiałej potęgi wybiła godzina stanowcza, już wysunęły się gwałtownie inne kwestye, ukazały się nowe przedmioty współzawodnictwa dla wielkich mocarstw.

Niemniej jednak stara kwestya wschodnia, kwestya Konstantynopola z cieśninami, istnieje, a chociaż, jak się zdaje, jeszcze nie dojrzała do ostatecznego obrachunku, przecież w latach ostatnich od czasu do czasu przypomina się politycznemu światu.

Traktat san stefański, podyktowany w r. 1878 upokorzonemu padyszachowi przez zwycięzkiego nieprzyjaciela przed bramami Konstantynopola, stwarzał Wielką Bułgaryę, obejmującą, prócz jej dzisiejszego terytoryum, Wschodnią Rumelię i znaczną część Macedonii, tak, że ta domniemana forpoczta wpływu rosyjskiego sięgała do morza Egejskiego i przecinała posiadłości tureckie, właściwie zaś redukowała je do Konstantynopola i cieśnin z niewielkim dokoła nich obszarem. Konwencye z r. 1840 i 1841, neutralizujące cieśniny i zakazujące przejazdu przez nie okrętom wojennym jakiegokolwiek państwa, traktat san-stefański pozostawił nadal bez zmiany; widocznie pragnął gabinet petersburski przychylnie usposobić Anglię i uzyskać jej zgodę na ten zgubny dla Turcyi układ.

Jak wiadomo jednak, Rosya na kongresie berlińskim ujrzała się odosobnioną: Anglia i Austrya wystąpiły przeciw warunkom traktatu otwarcie, Niemcy i Francya zajęły stanowisko mniej stanowcze, ale w gruncie rzeczy niechętne, i Rosya zmuszona była zredukować swoje wymagania. Wschodnia Rumelia pozostała przy Turcyi, jako prowincya autonomiczna, wróciła do niej i Macedonia, w której zresztą Porta zobowiązała się, według artykułu 23 postanowień kongresu berlińskiego, przeprowadzić odpowiednie reformy.

Młode księztwo bułgarskie w pierwszym okresie swojego istnienia za rządów Aleksandra Battenberga i Ferdynanda koburskiego bylo usposobione względem Rosyi nieprzyjaźnie, «oswobodzicielka» bowiem zbyt pośpiesznie chciała utworzyć z niego swoją prowincyę. Rosya intrygami swojemi pozbawiła tronu Battenberga, ona też nie uznała księciem Ferdynanda koburskiego, a gdy ten mimo jej protestu zasiadł na tronie, zerwała z Bułgaryą wszelkie stosunki dyplomatyczne. Polityka rosyjska umiała upokorzenie znieść cierpliwie, mimo tonu wojowniczego swojej prasy, nie ośmieliła się na okupacyę Bułgaryi, a wolała pozostawić rzecz czasowi, intrygom i rublom. Udało jej się nienajgorzej.

Zamiast upierać się przy żądaniu odebrania tronu temu, kto otrzymał go bez jej zezwolenia, wolała ona kupić go właśnie za cenę tego zezwolenia. Ewolucya ta dokonywała się zwolna i w ciszy; pierwszy minister bułgarski, przedstawiciel kierunku antyrosyjskiego, Stambułow, musiał ustąpić, niedługo zaś potem, już za cara Mikołaja II Ferdynand uzyskał przebaczenie ze strony Rosyi, która uznała go księciem. Specyalny wysłaniec carski asystował przy ceremonii nawrócenia na prawosławie niemowlęcego następcy tronu, Borysa, czego się domagała Rosya przedewszystkiem. Miało to być zresztą niejako symbolem nowego politycznego kierunku.

Bułgarya została więc znowu w znacznej mierze placówką rosyjską, w Serbii zwyciężyły także wpływy rosyjskie, w Czarnogórzu trwały one stale; Rosya więc zyskała potężną podstawę do swojej polityki na półwyspie bałkańskim. Inspirowana przez rząd prasa zaczęła się rozpisywać o potrzebie utworzenia związku słowiańskiego z tych trzech państewek pod egidą Rosyi, nie jest to jednak łatwe z powodu antagonizmu między Bułgarami a Serbami, pamiętającymi niedawną klęskę pod Śliwnicą.

Bułgarya tymczasem, zyskawszy życzliwość Rosyi, dąży 1) do uwolnienia się od nominalnej zależności od Turcyi, pozostaje bowiem *de jure* w stosunku lenniczym do niej, 2) do zostania królestwem, 3) do rozszerzenia swych granic i dotarcia do morza Egejskiego w duchu traktatu san-stefańskiego. To tłomaczy, dlaczego w Macedonii wybuchają ciągle rozruchy, które w tym roku grożą przybraniem rozmiarów znaczniejszych. Ponieważ prowincyę tę zamieszkuje wielu Bułgarów, pomieszanych zresztą z Serbami i innymi szczepami, Bułgarya uważa ludność macedońską za współziomków i podburza ich wprost jawnie przeciw rządom sułtana. W stolicy Bułgaryi utworzył się już dość dawno komitet macedoński, który pracuje nad tem, aby rozruchy powtarzały się często i zwracały na tę prowincyę uwagę Europy. Za podstawę prawną służyć tu może ów artykuł 23 traktatu berlińskiego, według którego Turcya obowiązana jest zaprowadzić reformy dla ludności macedońskiej.

Od czasu pogodzenia się z Rosyą, rząd księcia Ferdynanda w swoich ambitnych planach rachuje na jej pomoc. Z głosów prasy rosyjskiej wnioskować można, że rząd carski nic nie miałby przeciw temu, ale absorbują go obecnie sprawy dalekiego Wschodu, prócz tego zaś za poparcie planów Bułgaryi żądałby powiększenia wpływu swojego w tem państewku. Przed kilku miesiącami rozeszła się pogłoska, że Rosya zgadza się na ustanowienie niezależnego królestwa Bułgaryi pod warunkiem odstąpienia jej portu Burgas i zawarcia z nią specyalnego traktatu, który mógłby się nazywać tylko handlowym, ale miałby szersze znaczenie polityczne. Druga wersya opiewała, że przyszło już do podpisania tajnej konwencyi wojskowej, oddającej na przypadek wojny armię bułgarską do dyspozycyi rządu rosyjskiego. Nie potwierdziły się te pogłoski, ale i nie zaprzeczono im wyraźnie, a późniejsze wypadki pozwalają się domyślać, że Rosya w sposób nieurzędowy, ale wyraźny, ośmiela Bułgaryę w jej ambitnych planach.

Niedawno odbyło się uroczyste poświęcenie cerkwi rosyjskiej, wzniesionej pod Szypką na pamiątkę wojny z r. 1877—1878. Na obrzęd poświęcenia jej przyjechał wielki książę rosyjski, wielu wybitnych generałów i innych oficyalnych osób: podnoszono w przemówieniach opiekę, jaką potężna Rosya darzy «oswobodzonych» Słowian i t. d. Wysoce oficyalny charakter uroczystości nie pozwalał wielkiemu księciu na użycie języka

wyraźniejszego, ale zrobił to za niego generał Ignatjew, który w Sofii dał upust swoim słowiańskim uczuciom. Jest to były ambasador rosyjski w Konstantynopolu i jeden z głównych sprawców ostatniej wojny, prócz tego zaś pełnomocnik rosyjski, który zawarł traktat san stefański. Ignatjew nie robił sobie wiele ceremonii z Turcyą, a czyniącym mu owacyę Bułgarom i członkom komitetu macedońskiego powiedział, że zawsze był zwolennikiem Wielkiej Bułgaryi, że Macedonia musi się połączyć z dzisiejszem okrojonem księztwem, że Rosya nigdy nie odmawiała opieki młodszym siostrom słowiańskim i że w czasie właściwym i w tym wypadku okaże swą pomoc. Jest to wyraźne ośmielanie komitetu macedońskiego do wywoływania rozruchów w Macedonii, właściwie zaś wywoływać ich już nie trzeba, tylko raczej nie pozwolić im ucichnąć. Niedawno ferment ogarnął znaczną część tej prowincyi, zbrojne oddziały z Bułgaryi, zorganizowane przez komitet macedoński przekroczyły granicę, a gazety wymieniały pułkownika Jankowa, jako ich dowódcę i organizatora dalszych band powstańczych. Prasa rosyjska przybiera ton zaczepny względem Turcyi i wyraźnie grozi jej interwencyą, jeżeli ta nie stłumi wrzenia w Macedonii i nie zaprowadzi obiecanych reform. Turcya gromadzi wojsko na granicy bułgarskiej i wysyła posiłki do zagrożonych okolic. Ze sprzecznych doniesień w prasie niepodobna wytworzyć sobie dokładnego obrazu, kiedy bowiem jedni spodziewają się zupełnego zduszenia niesfornej ruchawki za kilka tygodni, inni zapowiadają pożar, który w krótkim czasie ogarnie całą Macedonię i zmusi mocarstwa do interwencyi. Interwencya taka byłaby dla Porty fatalną, groziłaby jej bowiem utratą tej prowincyi, a więc większej części jej europejskich posiadłości.

Koncert europejski, wziąwszy na siebie sprawę przeprowadzenia reform na Krecie, pozbawił właściwie padyszacha tej wyspy, pozostawiając mu tylko nominalne zwierzchnictwo, i to nie na długo, bo ostateczne połączenie jej z Grecyą jest tylko kwestyą czasu. Coś podobnego stałoby się i z Macedonią, gdyby się nią zaopiekował koncert europejski, tylko tym razem sprawa byłaby więcej skomplikowana, bo odebrać ją Turcyi łatwiej, niż oddać komukolwiek. Rości tu bowiem pretensyę nie sama Bułgarya, ale i Grecya, i Serbia, nie mówiąc już o tem, że o porcie salonickim i o dotarciu do morza Egejskiego myśli oddawna

Austrya, która tu właśnie ma pole do najżywotniejszej akcyi zewnętrznej.

Jak wiadomo, w r. 1897 Austrya podczas wojny grecko-tureckiej zawarła z Rosyą umowę o zachowanie *status quo* na półwyspie Bałkańskim. Kombinacya ta chwilowo odpowiadała interesom rosyjskim z powodu rozpoczętej już wówczas wielkiej akcyi nad Oceanem Spokojnym. Dyplomacya rosyjska, zajęta na tym ważnym teatrze politycznym, nie mogła gdzieindziej prowadzić energicznej, czynnej polityki, zależało jej więc na obwarowaniu swych interesów umową, gwarantującą *status quo*, aby na Bałkanach nikt jej przez ten czas nie zgotował nowych trudności. Jeżeli zresztą wstrzymywała się Rosya od akcyi jawnej, to za kulisami znać było jej rękę w licznych intrygach, które ostatnimi czasy zwracały uwagę na małe państewka bałkańskie. I dzisiaj jeszcze Rosya nie podniosła urzędowo sprawy macedońskiej, i nie wiadomo, czy odpowiada jej planom postawienie jej teraz na porządku dziennym, widzieliśmy jednak, że we właściwy sobie sposób porusza odpowiednie sprężyny.

Gabinet petersburski za podstawę wpływów swoich na półwyspie Bałkańskim uważa państewka słowiańskie, z których chciałby pod protektoratem swoim, prawnym czy tylko faktycznym, utworzyć związek. Państwa, które chciałyby postawić tamę dążeniom Rosyi, przedewszystkiem Austrya, również oglądać się muszą za jakimiś sprzymierzeńcami wśród ludów bałkańskich. Tacy sprzymierzeńcy istnieją: są to narody, dla których rozpanoszenie się Słowian na półwyspie jest niepożądane, a więc Rumuni i Grecy. Rumunia nie ma żadnego powodu do wdzięczności względem Rosyi, ma zato aż nadto powodów do obaw z jej strony.

Zdobycie i aneksya dzisiejszej Rumunii, czyli dawniejszych księztw naddunajskich Multan i Wołoszczyzny było od czasu Aleksandra I koniecznym postulatem polityki rosyjskiej: umowy tylżycka i erfurcka z Napoleonem I oddawały ten kraj w ręce Rosyi, która jednak nie zdążyła go przed wojną 1812 r. opanować. Po wojnie 1828—1829 r. Rosyanie uzyskali nad tymi ziemiami rodzaj protektoratu, formalnie uznanego przez Portę, w dodatku zaś zajmowali je swojemi wojskami przez lat kilka do czasu zapłacenia kontrybucyi wojennej, utrwalając swe wpływy i przygotowując grunt do zamiany ich na gubernie rosyjskie.

Wojna krymska i pokój paryski pokrzyżowały plany rosyjskie: z księztw naddunajskich utworzyło się księstwo rumuńskie, które przekształciło się na królestwo po wojnie r. 1877—1878. W ostatniej wojnie wojska rumuńskie walczyły razem z rosyjskiemi, ale niechęć wzajemna pozostała po tem braterstwie broni. Rumunia po wojnie musiała się wyrzec Besarabii na korzyść Rosyi, co ją niezbyt korzystnie usposobiło, niezależnie od innych powodów i historycznych wspomnień. Rumunia oddawna jest przyjaciółką trójprzymierza, może nawet łączy ją z niem traktat formalny. Co się tyczy Grecyi, to związki rodzinne domu królewskiego z domem carskim i inne okoliczności nie pozwalają jej tak otwarcie przechylić się na stronę przeciwników Rosyi, w każdym jednak razie jest ona nieprzyjaźnie usposobiona względem planów bułgarskich i knowań komitetu macedońskiego. Według najnowszych doniesień, rządy rumuński i grecki odniosły się do mocarstw z przedstawieniem, że główną przyczyną niepokojów jest działalność tego komitetu. Niezadługo król grecki ma być w Wiedniu, a prasa półurzędowa nie szczędzi mu uprzejmości, traktując go prawie jak sprzymierzeńca.

Powstanie macedońskie, jeżeli przybierze rozmiary szersze, stać się może początkiem ważnych wypadków, nawet wtedy, gdyby żadne z wielkich państw nie uważało chwili obecnej za odpowiednią do przeprowadzenia swoich zamiarów na półwyspie Bałkańskim. Wiadomo, że polityka rosyjska uważała oddawna te kraje, głównie zaś Konstantynopol, za swoje dziedzictwo historyczne i dążenia tego nie wyrzekła się podziśdzień, można jednak powątpiewać, czy w interesie jej byłoby dzisiaj postawienie na porządku dziennym sprawy wschodniej. Przed siedmiu laty Rosya stanęła w obronie sułtana, gdy Anglia usiłowała skłonić mocarstwa do czynnej interwencyi w obronie Ormian. Zdaje się, że i dzisiaj interwencya taka nie odpowiadałaby jej planom i zapewne popierając skrycie zamieszki macedońskie, nie chciałaby ona, aby ostatnie wysunęły stanowczo kwestyę wschodnią. Przy zamieszkach bowiem można wywierać nacisk dyplomatyczny na Turcyę na korzyść Słowian bałkańskich i w ten sposób wzmacniać wpływy wyłącznie rosyjskie wbrew innym mocarstwom. Polityka taka jest dla Rosyi obecnie najkorzystniejsza, bo do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyi wschodniej w duchu swych wiekowych planów nie jest ona w chwili obecnej dość silną. Sprawy bałkańskie są właśnie temi, w których

sojusz francusko-rosyjski jest najsłabszy, Francya bowiem nie może sobie życzyć opanowania przez Rosyę cieśnin i wkroczenia na morze Śródziemne. Chéradame, znany zwolennik przymierza, oskarżał niedawno ministra Delcassego, że w sprawach, dotyczących Wschodu bliższego, t. j. Turcyi, prowadzi politykę antyrosyjską, co najwyraźniej okazało się w stosunku do sprawy kolei Bagdadzkiej. Niemcy są obecnie przyjaźniej, niż kiedykolwiek, usposobione dla Turcyi, trudno więc byłoby polityce rosyjskiej pociągnąć je za sobą, gdyby zamierzała ona wystąpić ze zbrojną interwencyą. Dla Rosyi najkorzystniej jest, gdy położenie wewnętrzne Turcyi kruszy powoli siłę państwową i uspasabia przeciw niej opinię europejską, sułtan bowiem, czując swoją zależność od obcych potęg, przedewszystkiem od Rosyi, musi być dla niej uprzejmym. W ten sposób nie przerywając swojej akcyi azyatyckiej, nie narażając się na odosobnienie, niedogodne i niebezpieczne nawet dla takiej jak Rosya potęgi, może gabinet petersburski rozszerzać sieć swoich wpływów i przygotowywać teren tak, aby kiedyś dostał mu się spadek po «chorym człowieku».

Taką zapewne ma taktykę polityka rosyjska, wypada jednak pamiętać, że na niepewnym gruncie półwyspu Bałkańskiego zamieszki i rozruchy przerastają częstokroć te rozmiary, jakie im nadać chcą zakulisowi reżyserzy dla poparcia oficyalnej akcyi dyplomatycznej. Ostatnia wojna turecka nie była uplanowana i podjęta została nawet wbrew opinii kanclerza Gorczakowa, gdy środki dyplomatyczne Ignatjewa zawiodły i polityka rosyjska stanęła wśród alternatywy odwrotu albo stanowczego działania. Jest więc rzeczą naturalną, że na tak ważnym i pełnym materyału palnego terenie, jak półwysep Bałkański, wszelkie wstrząśnienia budzić muszą ogólną uwagę.

S. Ko—wicz.

NOWE KSIĄŻKI.

Majestaetsbeleidigungen. Randglossen zu der von Sr. Majestaet Kaiser Wilhelm am 4. September 1902 im Staendehause zu Posen gehaltenen Ansprache. In 8⁰, str. 32. Wiedeń-Lipsk 1902.

Pod tym tytułem wyszła w Wiedniu broszurka, poświęcona mowie Wilhelma II, wygłoszonej w Poznaniu dnia 4-go września w domu Stanów

prowincyonalnych. Możnaby ją spokojnie pominąć milczeniem, nie zawiera bowiem niczego wybitnego, ani nowego, gdyby nie okoliczność, że bez najmniejszej wątpliwości pisać ją musiał Polak, a jak nawet pocichu głośna wieść niesie, jeden z naszych znanych «mężów stanu» zaboru pruskiego.

Twierdzeniem zasadniczem autora jest to, że, jeżeli monarcha w przemówieniach swych fałsze wygłasza, to wina za to spada na jego doradców, którzy przez kłamliwe informacye dopuszczają się obrazy majestatu i zdrady stanu. Teorya ta, ostatecznie sama w sobie najzupełniej nieszkodliwa, pozwala autorowi wysnuć wniosek, że Wilhelm II musi widocznie nie wiedzieć o rzeczywistem położeniu w zaborze pruskim, jeżeli wygłasza zdanie, że nikt nie stawia trudności katolikom królestwa pruskiego w wyznawaniu wiary i że nikt nie pragnie, by szczepowe i plemienne właściwości poddanych pruskich zostały zupełnie zatarte. Autor tak święcie wierzy w szlachetność uczuć obecnego dziedzica tronu pruskiego, tak stawia wysoko jego «wspaniałe umysłowe zadatki», iż niewątpliwie liczyć musi na to, że ten po przeczytaniu broszurki, wypędzi na cztery wiatry swych doradców obecnych, zarówno berlińskich, jak poznańskich.

Kulminacyjnym punktem wywodów jest następujące zdanie: «Polak może z łatwością — o ile nie będzie traktowany jako obywatel drugiej klasy i dzięki temu postawiony po za państwową maszyną, i o ile wszystkie konstytucyjne prawa wreszcie przyznane mu będą — stać się wiernym i rzetelnym obywatelem i jako taki służyć królowi i państwu, a nawet tem łatwiej, że pojęcie «Prusaka» jest pojęciem państwowem, nie zaś narodowem (!) — jednakże Niemcem nigdy nie zostanie i wszelkie próby odebrania mu narodowości będą bezowocnie się kończyły, sprowadzając dla państwa, które tak zbrodniczą grę prowadzi, jak najfatalniejsze następstwa».

Przed laty wygłosił były poseł do parlamentu, członek pruskiej izby panów, p. Józef Kościelski zdanie, świadczące nietyle o jego zdolnościach dyplomatycznych, ile o zaniku pewnych zdolności moralnych, że Polacy w zaborze pruskim powinni być «Prusakami po polsku mówiącymi». Autor przed nami leżącej broszurki powiększa grono wyznawców jego zasady.

Naszem zdaniem autor nie zrobił źle, że tę broszurę napisał, ale bardzo źle robi, głosząc o swojem autorstwie. Powinno się, przeciwnie, rozgłaszać, że napisał ją Niemiec. Tym sposobem możnaby się przyczynić do zdyskredytowania inteligencyi naszych wrogów. *(st—l)*.

PRZEGLĄD PRASY.

= Przełom, odbywający się obecnie w społeczeństwie galicyjskiem a polegający na szybkiem szerzeniu się zasad realnej polityki narodowej, żadnego bodaj odłamu politycznego w taki nie wprawia kłopot, jak stańczyków krakowskich nowego stempla, nazywających siebie młodokonserwatystami. Ci przedstawiciele młodszego pokolenia polityków krajowych, budujący swą przyszłość — publiczną i prywatną — na gruncie zasad, wyrobionych przez stare stańczykowstwo, w przekonaniu, że wybrali sobie, jak mówi Pismo, «najlepszą cząstkę, która od nich odjęta nie będzie», naraz

zaczynają czuć, że ten grunt się chwieje, że gotów im się całkiem z pod nóg usunąć. Zatrwożeni tedy o swój los, zaczynają robić wysiłki, które w przeciwnikach ich muszą budzić tylko otuchę, bo od początku noszą wszystkie znamiona obrony przegranej sprawy.

Stronnictwo stańczykowskie, do którego przedstawiciele tej młodszej grupy w różnych czasach przymknęli, by się niebawem z niego wyróżnicować, nigdy nie było na liczbę wielkie. Pomimo to odegrało ono ogromną rolę zarówno w zakresie polityki praktycznej, jak w sferze zasad i teoryi politycznych. Nie mając nigdy przewagi liczebnej, wywierało ono pierwszorzędny wpływ na bieg spraw galicyjskich i, nie będąc nigdy popularnem, wszczepiało stopniowo swoje poglądy niemal we wszystkie stronnictwa. Obok poparcia rządu, zwycięztwa te zawdzięczało ono z jednej strony wybitnym stosunkowo zdolnościom i intensywnej prasy swoich ludzi, z drugiej zaś temu, że przeciwstawiający się stańczykowstwu patryotyzm opierał się tylko na głębszych lub płytszych uczuciach narodowych a pozbawiony był szerszej myśli narodowo-politycznej. Zręcznie wyzyskując tę słabość przeciwników i rozumiejąc, że skromność w polityce nie na wiele zda się, opatentowali niejako stańczycy swój rozum polityczny i powoli wpoili w społeczeństwo przekonanie, że są jedynymi w Polsce jego producentami. Wiedząc, że lepsze jest niepodzielne panowanie w małem królestwie, niż wspólne w wielkiem, owładnęli oni przedewszystkiem Krakowem, zrobili sobie twierdzę z miejscowego uniwersytetu i akademii, pozyskując możność przygarniania pod swe skrzydła młodych pracowników politycznej i politykującej nauki. Z tych to właśnie przygarnianych powstała grupa młodo-konserwatywna.

Grupa ta, jak wiele innych stronnictw, składa się z ludzi najrozmaitszej wartości, poczynając od działaczy z poważnymi zamiarami politycznymi, pragnących wyzyskać zdobyte przez stańczyków stanowisko moralne ku przeprowadzeniu szeregu reform w duchu bądź usunięcia różnych anomalii życia galicyjskiego, bądź silniejszego zabezpieczenia interesów właścicieli obszarów dworskich w kraju, a kończąc na najzwyklejszych poszukiwaczach karyery, uważających, że najtańszem dojściem do niej jest przypisanie się do wpływowego stronnictwa. Ludzi tej miary, co założyciele krakowskiej szkoły politycznej, nie miała ona i nie ma, ale patrzyła śmiało w bliższą przyszłość w przekonaniu, że coś przecie jest wart spadek programowy po tamtych. Prawda, że już w dobie powstawania tej grupy doktryna stańczykowska straciła wiele z pozorów realnej wartości, jakie miała na początku, że «stanie i stać chcenie» u najśmielszych nawet marzycieli przestało już oddawna budzić wielkie nadzieje, że ten nowy odłam polityczny nie mógł już mieć silnej wiary w austryackie jutro, ale dla celów jego nie było to w znaczniejszej mierze potrzebne, bo nie ogarniały one szerszych widnokręgów, ani też w dalszą sięgały przyszłość.

Niemniej przeto młody konserwatyzm krakowski bardzo prędko odczuł, że po stracie pozycyi starych stańczyków w sprawach ogólno-narodowych, wobec widocznej niemożności oparcia się o drżącą w podstawach Austryę, grozi mu zejście do roli partyi a raczej koteryi lokalnej, w rodzaju współzawodniczącej z nim krakowskiej demokracyi. Zrozumiano, że trzeba ratować rangę polityczną, stanowisko stronnictwa z programem

ogólno-narodowym. Tu młodo-konserwatyści krakowscy nie mogli się zdobyć na nic zasadniczo nowego, bo musieliby do tego zreformować z gruntu swą myśl, wychowaną w szkole starych stańczyków: szukanie oparcia w obcym rządzie pozostało, tylko sam przedmiot się zmienił. Poszli oni w kierunku ewolucyi, rozpoczętej przez część starych stańczyków, tylko posunęli się dalej o tyle, że zatracili resztkę samodzielności tamtych i w rzeczach polityki ogólno-polskiej oddali się pod komendę petersburskiej grupki działaczy moskalofilskich. W sprawach pozostałych dzielnic *Czas* stał się dopełnieniem petersburskiego *Kraju*, echem najbardziej znikczemniałego politycznie ze wszystkich pism polskich *Dziennika poznańskiego*.

Atoli silna akcya moskalofilska głęboką potwornością swoją tylko przyśpieszyła właściwą reakcyę: opinia szybko zaczęła się zwracać ku programowi polityki narodowej, opierającemu się na własnej sile: zamiast myśleć o łączeniu się z którymkolwiek z wrogów, dać się pociągać bezsensownym frazesem o «walce na jednym froncie», społeczeństwo zaczyna widzieć przyszłość tylko we wzmocnieniu sił własnych, w zacieśnieniu węzłów międzydzielnicowych, w oparciu się na masie narodowej, na ludzie.

Jako naturalna konsekwencya tego zwrotu zjawiło się potępienie dotychczasowej polityki interesów partyjnych: ogół zaczyna rozumieć, że postępowanie dzisiejszych stronnictw, stawiających na pierwszem miejscu swój interes, prowadzi najprościej do zguby naszej sprawy w Galicyi.

Znakomicie pomogły do uświadomienia sobie tej prawdy ostatnie fazy kwestyi ruskiej. Dotychczas każdemu stronnictwu najlżej ze wszystkiego przychodziły ustępstwa dla Rusinów: poczynając od sfer rządzących, od hr. Kaźmierza Badeniego swojego czasu, a kończąc na najskrajniejszej opozycyi, na partyi *Kuryera lwowskiego* i socyalistach, wszyscy umieli ich sobie kupować kosztem narodowego dobra w celu zdobycia czegoś przy ich pomocy na swych polskich przeciwnikach partyjnych. Rozzuchwaleni tą samobójczą polityką naszą, Rusini uwierzyli, że można Polaków wyrzucić za San skróconymi sposobami, w rodzaju strajków rolnych, po których pewnieby nastąpiły inne rodzaje bojkotu. Strajki rolne dopełniły miary i pomogły do otwarcia oczu tym, którzy za wysoką nawet cenę chcieli pozostać ślepymi. Im zawdzięczamy, że dziś na całej niemal linii rozbrzmiewają hasła polityki interesu narodowego.

Powyższy przełom w opinii wyraża się dwojako: z jednej strony rozwija się akcya dążąca do zbliżenia stronnictw polskich, określenia wspólnego, obowiąznjącego wszystkich gruntu narodowego w polityce; z drugiej — organy prasy coraz wyraźniej wypowiadają się w nowym duchu, coraz częściej stwierdzają potrzebę przyjęcia w polityce zasad, wnoszonych przez ruch wszechpolski. Coraz częściej słyszy się głosy, że stańczykowska doktryna polityczna zrobiła już, co miała do zrobienia, że dziś w interesie narodu trzeba ją pogrzebać. Te same głosy stwierdzają szybkie zdobycze, czynione przez kierunek wszechpolski.

Objawy te uznał za niebezpieczne dla siebie przedewszystkiem młody konserwatyzm krakowski i ma w tem zupełną słuszność. To *Requiem*, śpiewane coraz głośniej doktrynie stańczykowskiej, oznacza pogrzebanie programowej spuścizny, w której wartość utylitarną młodostańczycy tak silnie wierzyli i na której karyerę swego stronnictwa z takim optymizmem

budowali. Z drugiej strony wzajemne zbliżenie stronnictw i związanie ich ogólnie obowiązującemi zasadami polityki narodowej, gdyby nastąpiło, uniemożliwiłoby prowadzenie polityki metodami intrygancko-spiskowemi, którcmi niewielka grupa stańczyków krakowskich taki wpływ zdobyła i z których ich epigonowie z pewnością nie chcieliby rezygnować.

Tem się tłomaczy ostre wystąpienie *Czasu* z artykułem p. t. «Jedność w sprawach narodowych», pochodzącym niewątpliwie od młodokonserwatystów, w którym dowodzi się, że właśnie w sprawach narodowych jedność jest niedorzecznością. Obawa o zagrożone stanowisko i chęć wpojenia jej konserwatystom wschodnio-galicyjskim aż nadto przebija ze słów następujących:

> «W rezultacie ci, którzy głoszą tę jedność i polityczne stronnictwa chcą w dziedzinie polityki połączyć w imię tego hasła, albo już skapitulowali ze swego charakteru politycznego, albo też noszą się z myślą tej kapitulacyi
>
> «Słyszymy coraz częściej o kompromisach, namawiają do nich z wielu stron, uciera się nawet przekonanie, żeśmy wstąpili w erę kompromisową.
>
> «Być może, świadczyłoby to jednak tylko, że obecnie więcej jest ludzi, którzy do swoich przekonań słabo są przywiązani, że więcej obecnie jest polityków niewyrobionych i niewykończonych, gdy im tak łatwo przychodzi czynić koncesye ze swego indywidualnego dorobku politycznego i iść pod cudzą, z natury rzeczy wrzaskliwą komendę. A im wrzaskliwszą ta komenda, z tem większą o sobie twierdzi pewnością, że ona tylko ma monopol patryotyzmu».

Wrażenie tego artykułu, dyktowanego widocznie przez silne uczucie a stąd nieopatrznego, musiał aż łagodzić list otwarty starszego stańczyka, p. Bobrzyńskiego.

Jeden z wybitniejszych przedstawicieli młodokonserwatyzmu krakowskiego, profesor i poseł sejmowy, p. Wł. Leop. Jaworski, uciekł się aż do gościnności petersburskiego *Kraju*, zamieszczając tam list otwarty, w którym między innemi stara się opinię polską dobrze usposobić do wyłącznego stanowiska swego stronnictwa wobec akcyi zespolenia stronnictw na gruncie narodowym. Zastanawiając się nad reakcyą przeciw rozpolitykowaniu społeczeństwa galicyjskiego, powiada on:

> «Reakcya ta widzi przyczynę choroby w walce stronnictw; zamiast jednak zapytać się i zbadać, co tutaj jest złem: czy s t r o n n i c t w a, czy w a l k a, odpowiada bez wahania, że złe są stronnictwa. Stąd rodzi się druga niedorzeczność polityczna, owo dążenie do stworzenia, choćby na bardzo ograniczonym terenie, wspólności wszystkich narodowych żywiołów pod względem politycznym. Jest to polityczna niedorzeczność, powiedziałem, bo w życiu politycznem istnienie stronnictw jest koniecznem, a brak ich jest zanikiem tego życia».

P. Jaworski, jak widzimy, używa w dyskusyi metody niekosztownej, polegającej na tem, że się udaje, jakoby się przeciwnika nie rozumiało, że się mu przypisuje głupstwa, których nie powiedział, a potem już te głupstwa bardzo łatwo zwalcza.

O ile nam się zdaje, to wśród ludzi, prowadzących akcyę zbliżenia stronnictw na gruncie narodowym i przemawiających za nią w prasie, nikt nie powiedział i nikt nie myśli, żeby w ż y c i u p o l i t y c z n e m i s t n i e n i e s t r o n n i c t w n i e b y ł o k o n i e c z n e m.

Stronnictwa są potrzebne i nawet nie może być mowy o zupełnej

jedności między niemi w sprawach narodowych. Ale muszą one mieć pewien wspólny grunt w rzeczach narodowych, bo inaczej przestaniemy być narodem. Muszą przecie być sprawy, w których naród cały obowiązany jest jak jeden mąż występować. Taki wspólny grunt istnieje już dzisiaj, tylko jest zamały. Idzie o to, żeby go rozszerzyć, żeby jedność narodowa zaczęła obowiązywać wszystkich w takich sprawach, w jakich dotychczas ją zrywano, żeby np. nie było wolno wzmacniać pozycyi Rusinów dla zwalczenia Polaków innego politycznego odcienia, lub popierać rządu przeciw widocznym interesom kraju i narodu za nagrody, udzielane pewnym osobom, partyom lub warstwom społecznym.

Z drugiej strony, jeżeli już nasze w szczególności zdanie mamy wypowiedzieć, to stronnictwa są potrzebne, ale nie takie, jakie obecnie w Galicyi istnieją — wyrosłe w atmosferze abdykacyi narodowej i obojętności na narodowe interesy oraz wychowane w austryackim systemie wyborczym.

System kuryi wyborczych, mający na celu zapewnienie przewagi klasom posiadającym, a niemniej możliwie najsilniejsze rozbicie na klasy narodów składających Austryę, pokrajanie w poziomym kierunku ludności państwa, silnie porozdzielanej z natury w pionowym, w nadziei, że w takiej kaszy łatwiej przyjdzie grzebać biurokracyi wiedeńskiej, system ten wytworzył w znacznej mierze całe życie polityczne krajów należących do monarchii Habsburgów. Ślepy tylko nie widzi, że w żadnem państwie europejskiem czynniki klasowe tak silnie nie wpływają na wytworzenie stronnictw, jak w Austryi. Klęska ta najsilniej występuje w Galicyi, która, jako najmniej dojrzała politycznie, najsilniej uległa wpływowi systemu kuryalnego. Stronnictwa galicyjskie są właściwie stronnictwami kuryalnemi: konserwatyści są stronnictwem pierwszej kuryi, t. zw. demokracya — kuryi miejskiej, ludowcy, stojałowczycy i związkowcy — czwartej, a socyaliści usiłują być stronnictwem piątej, po odtrąceniu obywateli głosujących w czterech pierwszych kuryach. Gdy które z tych stronnictw stawia kandydata w nieswojej kuryi, to robi to niemal ze świadomością, że wypasa cudze pole. Dlatego też w czwartej kuryi słyszymy często hasło: «wybierajcie tylko chłopa!», najpotworniejsze, najsilniej bodaj świadczące o rozbiciu społeczeństwa, o braku wszelkiego zaufania i łączności między składającemi je warstwami.

Pracujący w kancelaryach nad rozbiciem tego, co stanowi naturalną całość, a utrzymaniem tego, co obalić się musi, biurokraci wiedeńscy z radością muszą patrzeć na Galicyę, widząc, jakie zdobycze tu poczyniła zasada «reprezentacyi interesów». Przecież tu stawiano do Rady państwa kandydaturę organisty, a na jej poparcie pisano, że interesy stanu organistowskiego dotychczas nie mają w Radzie państwa reprezentacyi! Istotnie, wychowani w austryackiej szkole jesteśmy tu w polityce właścicielami obszarów dworskich, mieszczanami, chłopami, urzędnikami, kolejowcami, nauczycielami, organistami wreszcie, zapominając o tem, że trzeba być także, i to przedewszystkiem — Polakami.

Czy takie stronnictwa nam są potrzebne? czy na takiem grupowaniu się polega postęp polityczny i rozwój sił narodu?...

Otóż nam się zdaje, że obecne podniesienie aspiracyi narodowych, postępując dalej, doprowadzi do rekonstrukcyi politycznej społeczeństwa

galicyjskiego, że zgotuje ono z czasem koniec dzisiejszym stronnictwom kuryalnym a da początek stronnictwom narodowym, które osią swego programu zrobią sprawy postępu społecznego i politycznego nawewnątrz, a podniesienie sił narodowych do walki z wrogami na zewnątrz, które różnić się będą przedewszystkiem nie tem, że reprezentują interes tej lub innej warstwy, ale tem, że tak lub inaczej pojmują interes całego społeczeństwa, interes narodowy. Taka ewolucya zbliży nas do narodów przodujących w postępie politycznym. Wtedy dopiero będzie mniej dzisiejszego rozpolitykowania, mniej wydzierania sobie mandatów, a zato więcej realnej pracy nawewnątrz i więcej jedności wobec wrogów zewnętrznych.

Jeżeli się w przewidywaniach naszych bardzo nie mylimy, to młodokonserwatyści krakowscy, o ile istnieć zechcą, nie będą mogli poprzestać na pisaniu o potrzebie «systematycznej pracy nad przetworzeniem naszego społeczeństwa w duchu nowożytnych danych», o której mówi w *Kraju* pan Jaworski, ale będą musieli zrobić to, czego dziś unikają, t. j. wypowiedzieć się: 1) jakie stanowisko zajmują w walce naszego narodu ze wszystkimi jego wrogami zewnętrznymi? 2) jak pojmują pracę wewnątrz społeczeństwa, a przedewszystkiem jak się zapatrują na sprawę ekonomicznego, kulturalnego i politycznego podniesienia warstw ludowych? Wtedy się okaże, o ile przydatny jest do zapewnienia stronnictwu przyszłości spadek programowy po ojcach-stańczykach i o ile przyjaciele polityczni p. Jaworskiego mają w dzisiejszych warunkach kwalifikacye do wystąpienia, jako «stronnictwo nowożytne, któreby podjęło się systematycznej pracy politycznej», «stronnictwo, opierające się na programie pracy legalnej, a dalej na programie reform politycznych i społecznych».

Stronnictwo polityczne, powtarzamy — polityczne, nie jest jeszcze takiem przez to, że chce się organizować, że chce podjąć systematyczną pracę, że pragnie reform, że wreszcie chce stać na gruncie legalnym — musi ono zająć wyraźne stanowisko w sprawie najważniejszych zagadnień bytu narodowego, musi powiedzieć, dokąd idzie, o co walczy i na kim się w tej walce opiera. Stronnictwo stańczykowskie na te pytania dawało wyraźną odpowiedź, i dlatego było jedynem prawdziwie politycznem w Galicyi stronnictwem; jeżeli jego wychowańcy chcą być także stronnictwem politycznem, nie mogą w tym względzie milczeć.

Jeżeli akcya, prowadząca do wytworzenia większej łączności między stronnictwami na gruncie narodowym, jest młodokonserwatystom bardzo nie na rękę, to w niemniejszy kłopot ich wprawia coraz głośniejsze stwierdzanie przez prasę przełomu, jaki się obecnie w opinii odbywa.

Świeżo lwowski *Przedświt*, który, stojąc więcej na boku od walk partyjnych, bardziej perspektywicznie traktuje życie polityczne kraju, zamieścił artykuł p. t. «Zmiana opinii publicznej», w którym powiada:

> «Rezolucye mężów zaufania komitetu centralnego i ciekawa w swoim rodzaju polemika posła Bobrzyńskiego z redakcyą *Czasu* są nowym dowodem ewolucyi naszych poglądów polityczno-społecznych. Do niedawna panował u nas niepodzielnie program t. zw. stańczyków, i to z odpowiedniem zabarwieniem partyjnem we wszystkich stronnictwach. Prawica i lewica przejęły zarówno poglądy Szujskiego, a jedynie domieszka konserwatyzmu lub liberalizmu — raczej sta-

nowa, aniżeli polityczna — i względy praktycznej walki o wpływ i rządy różniły ich od siebie.

«Pierwszy wyłom zrobili ludowcy, negatywna jednak, niemal wyłącznie burząca ich działalność i natychmiastowe wystąpienie do walki nie mogły zapewnić im szerszego znaczenia na polu opinii publicznej. Dopiero znacznie później z dwóch różnych stron wyłoniły się kierunki, które dziś szybką infiltracyą przedostają się do poglądów ogółu: wszechpolski, oparty o szeroką podstawę narodową, i katolicko-narodowy, przejęty duchem demokracyi chrześcijańskiej.

«Obie te grupy zaświeże i zasłabe, ażeby bezpośrednio oddziałać na życie publiczne; patrząc bezstronnie na walkę partyjną, potrafiły w krótkim stosunkowo czasie znaczną część swych głównych myśli wpoić w społeczeństwo, pomimo że stronnictwa panujące, zwalczały je i zwalczają z wielką wytrwałością. Ewolucya polityczna w kierunku narodowego uświadomienia i uspołecznienia idzie stałe naprzód, a dnie ostatnie okazały to tak jasno, że dziś już nawet przywódcy polityczni zaczynają się skrupulatnie liczyć z tym nowym objawem».

Ten to najwidoczniej artykuł, zadaleko zresztą idący w ocenie już odbytej przez społeczeństwo ewolucyi, wywołał w *Czasie* odpowiedź p. t. «Przełomowa chwila?», którego autor stawia pytania:

«Czy wszechpolska demokracya przedstawia rzeczywiście kierunek polityczny i to kierunek przyszłości, tudzież, czy do tych spadkobierców, gasnących, wedle tego przekonania, dzisiejszych stronnictw, nie należy zaliczyć także socyalizmu, który przez autora został w testamencie pominiętym?»

Chcąc odpowiedzieć na pierwsze z tych pytań, publicysta *Czasu* zaczyna od naszego rodowodu:

«Rodowód wszechpolskiej demokracyi nie jest ustalony. Gdyby jednak pochodziła rzeczywiście od rewolucyjnej konspiracyi, to musiałaby najściślejszą to swoje pochodzenie otoczyć tajemnicą, w społeczeństwie bowiem, które tyle przecierpiało i tyle musiało się tem cierpieniem nauczyć, nie znalazłaby żadnego gruntu».

Za ten «nieustalony rodowód» doprawdy możnaby się obrazić, mając dokumenty w takim porządku, jak demokracya wszechpolska. Jeżeli autorowi działalność polityczną w Królestwie, w stosunku do rządu rosyjskiego nielegalną, podoba się nazwać «rewolucyjną konspiracyą», to demokracya wszechpolska istotnie od niej pochodzi. Z pochodzeniem zaś tem nie ma powodu się ukrywać, bo narodzenie się na drodze nielegalnej może być niedogodne dla jednostki, ale stronnictwu ujmy nie przynosi.

Założeniem artykułu jest dowieść, że demokracya wszechpolska nie jest stronnictwem politycznem, że zatem nie można jej zgłaszać do spadku po tych, których w polityce galicyjskiej ogłaszają za bankrutów. W tym celu nie upiera się autor przy jej «konspiracyjnym» rodowodzie, ale przechodzi na jej duchową genezę, podnosząc, że uważa się ją jako reakcyę na pozytywizm warszawski, która starała się «rozświecić jakąś nadzieją przerażającą pustkę polityczną», jaka powstała po «pryśnięciu wszystkich złudzeń» tamtego.

«Gdyby tak było — powiada — to te właśnie twierdzenia udowadniałyby niezbicie, że «wszechpolska demokracya» może być wszystkiem prędzej, filozofią, poezyą, nawet religią *sui generis*, ale kierunkiem «politycznym» nie jest. Nie zmniejsza to niebezpieczeństwa, które w sobie kryje, przeciwnie, zwiększa je, bo w miejsce polityki i jej rozumowej metody, wprowadza w życie i działanie pier-

wiastek nieobliczalny, bo uczucie, mogące się objawiać nawet w formie namiętności.

«Pozytywizm warszawski był kierunkiem filozoficznym; do polityki, która ma przecież zupełnie inny punkt wyjścia, naciągnięto go tylko sztucznie. Jeżeli więc wszechpolska demokracya ma być jego idealną antytezą, to właśnie jako antyteza trafia w jego filozoficzną istotę, gdyż inaczej chybiałaby zupełnie celu. Jako antyteza zaś beznadziejnej szarości życia publicznego w dwóch dzielnicach polskich, jako antyteza głuchej apatyi i martwoty politycznej, jaka panuje zwłaszcza pod panowaniem rosyjskiem, trafia wszechpolska demokracya przez swoje głośne ocenianie siły narodu polskiego, jego zdolności do rozwoju i postępu — w najsłabszą stronę każdego Polaka, w jego uczucie dumy narodowej, a więc w uczucie».

Wykazawszy tym sposobem, że rodowód wszechpolskiej demokracyi nie daje jej prawa do politycznego spadku, autor wskazuje inne względy, udawadniające jego twierdzenie.

Ponieważ «polityki nie tworzy się przy zielonym stoliku» (?), ponieważ «politykiem nie można być, nie stykając się z realnymi, rzeczywistymi stosunkami politycznymi,... nie działając w publicznych instytucyach», a «wszechpolska demokracya została importowana do nas z kraju, gdzie niestety w życiu politycznem udziału nie mamy», *ergo* etc... Wreszcie jest i wzgląd trzeci:

»Polityka, która nie stoi na gruncie legalnym i nie działa legalnie, przestaje nią być, a staje się konspiracyą. Tymczasem program wszechpolski, w swojej najumiarkowańszej fazie, wzywa do «politycznego» współdziałania wszystkie ziemie polskie. Jeżeli więc nie ma to być konspiracyą, to kto i z kim ma współdziałać? Na pytanie to nie słyszeliśmy odpowiedzi i nie dostaniemy jej z pewnością».

Po takiem wyargumentowaniu «niepolityczności» wszechpolskiej demokracyi, publicysta *Czasu*, składając dań patetycznym ojcom-stańczykom, ich stylem zapytuje:

«Czyjąż więc spadkobierczynią może być wszechpolska demokracya? Spadkobierczynią filozoficznych bałamuctw, stosowanych do polityki, dziedziczką wszystkich porywów uczucia, nie hamowanych i nie kierowanych rozumem, kontynuatorką dziejów cierpień i nieszczęść narodu — ale spadkobierczynią «polityki» nie będzie i nie może być, bo jej brakuje istoty polityki».

Po tem, cośmy już dawniej mówili, nikt nie powinien nas posądzać, ażebyśmy się gwałtownie do spadku po kimkolwiek rwali. Przeciwnie, obawiamy się, że zbyt wczesne i łatwe spadkobierstwo mogłoby nawet nasz młody ruch wykoleić. Nie uważamy się też za skończone w swojej forma cyi stronnictwo polityczne, i może właśnie dlatego kierunek nasz tak szybkie czyni zdobycze. Ale w kierunku tym, według naszych pojęć, znajdują się w różnych stopniach rozwoju wszystkie pierwiastki, potrzebne do stworzenia nowoczesnego stronnictwa politycznego.

Nie przeszkadza mu do tego ani rodowód nielegalny, ani rola odegrana w życiu duchowem społeczeństwa — przeciwnie, i jedno, i drugie wzmocnić tylko może siłę moralną stronnictwa. Jeżeli zaś stronnictwo umie działać w warunkach, w których rząd nam nie daje żadnego udziału w życiu politycznem, jeżeli ten udział wbrew rządowi samo sobie brać umie i samo tworzy dla siebie instytucye publiczne, raczej to świadczy

o jego dzielności i twórczych zdolnościach, niż o braku kwalifikacyi do jawnego życia politycznego tam, gdzie instytucye są gotowe.

Prawdziwie narodowe u nas stronnictwo musi się opierać na zasadzie współdziałania wszystkich zaborów. Z kim mamy współdziałać? — pyta *Czas*, pewien, że nie otrzyma odpowiedzi. Owszem, odpowiadamy jasno: z żywiołami politycznymi, czynnymi i zorganizowanymi. Czy zaś tam rząd zaborczy organizacyę tę, lub, jak *Czas* chce konspiracyę, uznaje, czy nie, to nas do niczego nie obowiązuje. Zawieleśmy stracili, zawieleśmy przespali, ażebyśmy dziś w pracy narodowej mieli sią ograniczać do tego tylko, na co nam Moskale i Prusacy pozwolą.

Zbyt drogie nam są sprawy całej Polski, ażebyśmy się w nich mieli czegokolwiek wyrzekać dla otrzymania «politycznego» spadku w Galicyi. Zanim przyjdzie chwila, że bez abdykacyi z naszych celów i zasad będziemy się mogli do tego spadku zgłosić, młodokonserwatyści krakowscy, o ile będą chcieli i umieli, mają czas przetworzyć się na stronnictwo polityczne. Obawiamy się wszakże, że w tem, co ich wiąże w całość, brak właśnie poważnych politycznych podstaw.

POLEMIKA.

W *Przeglądzie wszechpolskim* z lipca b. r. (R. VIII, Nr. 7) pojawił się artykuł pod tytułem: «Profesorowie i Studenci. Z powodu ostatnich zajść na politechnice lwowskiej», podpisany przez p. K. Brońskiego. Ponieważ z tonu artykułu tego a mianowicie jego wstępu (str. 528—529) wnosić można o dobrej woli autora, pragnę mu odpowiedzieć w tem samem piśmie, zgadzając się w zupełności z autorem, iż «najgorsze jest to, że opinija w kraju nie zdaje sobie sprawy z całej szkodliwości podobnego stanu rzeczy», a twierdząc nadto, że to opinia była, może nawet po części rozmyślnie w błąd wprowadzona. Cóż dziwnego, że nawet ludzie dobrej woli, wydają nieuzasadnione wyroki opierając sąd swój na mylnej informacyi.

Zarzutu tego nie mogę oszczędzić także ani autorowi wymienionego powyżej artykułu, ani redakcyi *Przeglądu* za jego ogłoszenie, pomimo że autor na pytanie «kto tu winien», odpowiadając «zdaje się, że wszyscy», tj. profesorowie, studenci, rząd i społeczeństwo, staje na stanowisku bezstronnem. Trudno mnie, jako jednemu z zasądzonych decydować o tem, czy to, co się autorowi zdaje, jest prawdą; niech o tem decyduje bezstronny czytelnik. Wolno jednak zwrócić uwagę czytających na niektóre ustępy artykułu, mające uzasadnić zarzuty zrobione gronu profesorów naszej szkoły.

Należało, twierdzi autor, «szukać ludzi niepospolitych, zdolnych stworzyć coś po nad poziom rzemieślniczo spełnianych obowiązków. Ludzie tacy w Polsce są, tylko trzeba umieć ich znaleźć, a nadewszystko trzeba chcieć». Należało «pamiętać, że wyższe szkoły w kraju nie są galicyjskiemi, ale polskiemi», że «o siły naukowe należy się w całej Polsce starać». «Tymczasem właśnie w politechnice lwowskiej», twierdzi autor, «rozwielmożniło się to popieranie «swoich», dawanie pierwszeństwa galicyjskim

urzędnikom technicznym przed wybitnymi uczonymi, ktorzy nie mieli szczęścia urodzić się i wychować w Austryi, że przypomnimy tylko niedopuszczenie do katedry Folkierskiego, dzięki czemu skład ciała profesorskiego jest pod względem naukowym niesłychanie ubogi».

Widocznie ani autor artykułu, ani szanowna redakcya *Przeglądu wszechpolskiego* nie wiedzieli, że St. Ziembiński b. prof. mech. techn., że ś. p. Leonard Marconi b. prof. rysunków i modelowania, że I. Rychter b. prof. nauk inżynierskich, I. Brühl b. prof. chem. techn., Br. Pawlewski prof. chem. techn. i L. Syroczyński prof. górnictwa nie mieli szczęścia ani urodzić się, ani wychować w Austryi. Nie wiedzieli również, że docenci: J. Janowski, Wawnikiewicz, Abakanowicz, Kamieński, Dobrzyński, Kleczyński, Amborski również tego szczęścia nie mieli. Nazwiska te przecież dowodzą właśnie, że kolegium naszej szkoły szukało ludzi wszędzie, a nie popierało «swoich», co autor zatem zupełnie bezpodstawnie a przecież tak stanowczo twierdzi. Sprawa Folkierskiego nie może dowieść twierdzenia tego. Nietylko prace naukowe, ale cała przeszłość Folkierskiego były bardzo dobrze znane kolegium, w którem tenże miał kolegów i osobistych przyjaciół, nie można jednak, będąc nawet światowej sławy uczonym, mieć kwalifikacyi do zajęcia każdej katedry. Niedawno zmarły Virchow nie byłby w żadnym uniwersytecie otrzymał katedry np. prawa albo historyi. W naszej szkole nie było wolnej katedry matematyki.

Czy są ludzie «niepospolici, wyjątkowi», zdolni do «działalności obywatelskiej drogą pewnych poświęceń», których by można powoływać na wolne katedry politechnicznej szkoły? P. K. Broński twierdzi stanowczo, że tacy są. Szczęśliwy optymista. Gdyby tak było, mogliby nam wszyscy pozazdrościć. Któraż bowiem szkoła wyższa posiada kolegium profesorów złożone choćby tylko w swej większości z «wybitnych uczonych»? — i takich «zdolnych do poświęceń ludzi wyjątkowych»?

Jeżeli więc jest przekonaniem autora owego artykułu, że «skład ciała nauczycielskiego jest pod względem naukowym niesłychanie ubogi», a to z powodu, że katedry «traktowano jako chleb dla swoich», należało wymienić po nazwisku tych, których kolegium mogło ale nie chciało dla szkoły pozyskać. Należało także wypowiedzieć, przy obsadzeniu których katedr kolegium «kierowało się prywatą, protekcyami, względami politycznymi i t. d». Możnaby wówczas polemizować. Które katedry bywają wolne, wiedzą wszyscy, kogo szkoła nasza obchodzi. Bywały one wolne nieraz zbyt długo, ponieważ były wielkie trudności w wyszukaniu odpowiednich sił naukowych. Nie każdy kandydat miał odpowiednie kwalifikacye naukowe, jak również nie każdy, który je miał, chciał się podjąć obowiązków pod warunkami obowiązującymi nas wszystkich.

Co chciał p. K. Broński wypowiedzieć ustępem od: «Profesor, który nie imponuje»... aż do «żeby sobie nie umieć dać rady z młodzieżą», jest dla mnie zagadką, bo znając członków grona profesorów, jak niemniej zajścia na politechnice, nie mogę mimo to nawet domyśleć się, do kogo owe zarzuty są skierowane.

Czy taki prosty opis wielkich niewątpliwie wad, których profesorom mieć nie wolno, jest uzasadnieniem zarzutów, zrobionych naszemu kole-

gium profesorów; czy wnioski z niego wysnute są umotywowane — każdy myślący czytelnik potrafi łatwo osądzić.

Julian Jaxa-Bykowski
profesor szkoły politechnicznej.

Lwów, 29 Września 1902.

Nie możemy, i nie chcielibyśmy zresztą, odmawiać profesorom Politechniki lwowskiej prawa zbijania zarzutów, uczynionych im w artykule p. K. Brońskiego. Sądzimy wszakże, iż i w obronie młodzieży możnaby napisać replikę, równie bodaj słuszną, jak powyższa. Wtedy nie pozostawałoby nic innego, jak strajk w szkole uznać za zjawisko normalne. Nie wdając się też w polemikę z szanownym autorem repliki niniejszej, wyrażamy tylko żal, że nie wypowiedział swego poglądu na przyczyny zajść, kompromitujących szkołę w oczach społeczeństwa i obcych. *Redakcya.*

KRONIKA.

ZABÓR ROSYJSKI.

= Zamknięta niedawno wystawa wileńska, mimo swych niezaprzeczonych braków, mimo błędów organizacyi, złożyła jednak świadectwo, że głównym kulturalnym żywiołem na Litwie są Polacy. Były zato fakty mniej pocieszające pod względem politycznym, śród których nie jest najgorszy ten, że członkowie wileńskiego Towarzystwa rolniczego, które wystawę urządzało, na żądanie Wahla wydali przy otwarciu jej okrzyk «hura» na cześć cara oraz wysłali adres z wyrażeniem uczuć wiernopoddańczych, i że potem byli na raucie u tego godnego następcy Murawjewa.

Słowa gorzkiej prawdy wypowiedział szlachcie litewskiej, zebranej w Wilnie z powodu wystawy, ksiądz Klamm, wikaryusz kościoła św. Jana. Zwrócił on uwagę na tysiące niezaspokojonych potrzeb, na brak ochronek, nędzę i t. d. i zestawił ów ciemny obraz ze zbytkami, rautami i przeróżnemi zabawami, które przeważnie cechowały wystawę. Mowa ta nie podobała się skarconym gospodarzom: udali się więc do administratora dyecezyi, który tego kapłana przeniósł z akademickiego kościoła św. Jana do parafii wiejskiej. Z tej samej ambony przemawiał niegdyś Skarga.

= W Wilnie pochwycono i wywieziono ks. Klepackiego sposobem w takich razach niepraktykowanym. O godzinie 5-ej zrana wywleczono go z łóżka i nie pozwalając mu ubrać się nawet, zamknięto w karecie i powieziono na stacyę kolei. Wina księdza polegała na tem, że nakazywał dziatwie uczyć się religii z polskich katechizmów.

= Obecnie stoi na porządku dziennym sprawa reformy urządzeń włościańskich w Królestwie Polskiem. Odnosi się to do serwitutów, które zgubny wpływ wywierają na rolnictwo, i do instytucyi komisarzy włościańskich, nic już obecnie nie mających do roboty. *Warszawskij Dniewnik* powątpiewa o szybkiem uregulowaniu serwitutów, komisarzy zaś proponuje zastąpić naczelnikami ziemskimi, którzy w Rosyi zdążyli już ściągnąć na siebie powszechną nienawiść. Byłby to nowy krok ku barbarzyństwu w urządzeniach politycznych Królestwa Polskiego.

= W Warszawie powstać ma nowy wielki dziennik, który wychodzić będzie trzy razy na dzień. Wymieniają pp. Poznańskiego, Neumanna i Lauera, jako podpory finansowe tego organu. Pismo posiadać będzie charakter żydowski, niewiadomo tylko, czy głosić będzie kierunek asymilacyjny, czy syonistyczny. Co z tego wyniknie, zobaczymy, warto jednak zauważyć, że w pewnych kołach kwe-

stya asymilacyi lub syonizmu uważana jest z żydowskiego punktu widzenia jedynie za taktyczną.

= Na mocy nowych przepisów, w Królestwie Polskiem ma obowiązywać nowa procedura paszportowa. Za dokument legitymacyjny dla wszystkich osób, zapisanych do ksiąg ludności stałej, służą bezterminowe książeczki paszportowe. Uciążliwe więc paszporty wewnątrz państwa zostają zniesione, dotychczasowe zaś przepisy, dotyczące paszportów zagranicznych, pozostają w swojej mocy.

= Rząd rosyjski zamierza utworzyć w Warszawie giełdę pracy, któraby pośredniczyła między szukającymi zarobku a właścicielami. Na przyszłość wychodztwo zarobkowe do Prus miałoby być ograniczone do tych tylko, którzy zyskają poświadczenie, że zarobku na miejscu dostać nie mogą. Rząd rosyjski naszym kosztem chce dokuczyć Niemcom, prócz tego nie jest zadowolony z tych wycieczek naszego ludu za granicę. Dla tej ludności będzie nowe rozporządzenie ciosem bardzo dotkliwym.

= W powiecie biłgorajskim, w wiosce Lipowcu, zamieszkałej przeważnie przez katolików, pop chciał założyć szkołę cerkiewną, ma się rozumieć, w celu misyjnym. Chłopi jednak, mimo nacisku ze strony naczelnika powiatu na dwukrotnie zwołanem zebraniu wioskowem kategorycznie oświadczyli, że nie zgadzają się na szkołę. Pop postanowił zrobić swoje wbrew uchwale; zjechał więc do Lipowca, poświęcił grunt pod szkołę, postawił krzyż i kazał założyć fundament. Na drugi dzień włościanie, zebrawszy się w znacznej liczbie, nie używając żadnych narzędzi, rozebrali to wszystko i przewieźli materyały na podwórze gospodarza, który zajmował się budową. Urzędnikom, którzy przyjechali na śledztwo, oświadczyli chłopi, że nie pozwolą budować szkoły na swoich gruntach, którymi nikt nie ma prawa rozporządzać wbrew ich woli.

Uparty pop i tym razem nie dał za wygraną i nanowo rozpoczął budowę. Chłopi złożyli na ręce komisarza piśmienny protest i, gdy ten zarządził ponowne zebranie wioskowe, większością 38 przeciw 8 głosom domagali się przerwania budowy. Sprawa jeszcze nierozstrzygnięta, ale sam fakt już wywarł bardzo dobre wrażenie na włościanach okolicznych i na inteligencyi.

= P. Józef Zieliński z Łążyna obdarzył płockie towarzystwo rolnicze biblioteką po ojcu swym, znanym autorze «Kirgiza». Biblioteka ta, licząca kilkanaście tysięcy tomów, byłaby poważnym czynnikiem oświaty w okolicy. Władze rosyjskie odmówiły jednak zezwolenia na przyjęcie tego księgozbioru, niwecząc obywatelskie zamiary ofiarodawcy.

ZABÓR AUSTRYACKI.

= Charakterystycznem a całkiem nowem zjawiskiem w naszem życiu narodowem są wiece polskie w Galicyi wschodniej, z których ostatnie, w Złoczowie i Sanoku przybrały imponujące rozmiary. Dnia 29 września odbył się wiec w Złoczowie, który zgromadził około 4000 uczestników, przeważnie chłopów polskich, na Rusi oddawna osiadłych. Prezydującym został wybrany p. Mazaraki, poczem p. Obertyński zabrał głos, nawołując w celu obrony narodowości naszej do wspólnej pracy lud i inteligencyę. P. Czołowski ze Lwowa przedstawił zebraniu prawa historyczne narodu polskiego do ziem w Galicyi wschodniej. P. Gruszecki, porywając swą wymową słuchaczy, rzucił im pytanie: «a może ja nie do Polaków mówię», na co z tysięcy piersi chłopskich rozległ się głos: «My tu wszyscy Polacy». «Czy chcecie iść za San?» «Nie!»

Po tem przemówieniu zupełnie samorzutnie rozległ się śpiew: «Jeszcze Polska nie zginęła!» Przemawiało jeszcze kilku mowców, między innymi p. Kasper Wojnar z Krakowa, podnosząc siłę liczebną i kulturalną narodu polskiego. Wiec jednogłośnie uchwalił szereg rezolucyi, zalecających, aby silnie i niezachwianie stać przy odrządku rzymsko-katolickim, aby zawsze i wszędzie posługiwać się tylko polską mową i bronić ziemi polskiej.

Przewodniczący zamknął wiec, a zaraz potem cała rzesza wyruszyła pod pomnik Mickiewicza, gdzie złożono wieniec u stóp wieszcza narodowego.

Tej samej sprawie poświęcony był wiec w Samborze, na który zebrało się przeszło 1500 osób, włościan, inteligencyi miejskiej i większych wła-

ścicieli ziemskich. Przewodniczył p. Ludwik Balicki. Wiec uchwalił następujące rezolucye:

«I. Że względu na niebezpieczeństwo, grożące nietylko politycznemu znaczeniu, ale wprost egzystencyi polskiego żywiołu we wschodniej części kraju, uznają zgromadzeni w Samborze reprezentanci wszystkich stanów konieczność utworzenia organizacyi żywiołu polskiego, celem wspólnej a skutecznej obrony dzisiejszego stanu posiadania w tej dzielnicy.

«II. Uznając dalej, iż dotychczasowa organizacya w postaci centralnego komitetu wyborczego, który z natury rzeczy przedewszystkiem powołany byłby do spełnienia powyższego zadania, jest z tego powodu niedostateczną, że brak w niej reprezentacyi stronnictw ludowych w Polsce —

«uchwala zgromadzenie wezwać czynniki w tej mierze decydujące do przeprowadzenia najrychlejszej reorganizacyi tej instytucyi przez uzupełnienie jej przedstawicielami tych stronnictw ludowych, które szczerze stoją na gruncie narodowym polskim — ewentualnie do nawiązania nowej organizacyi, któraby objęła wszystkie czynniki i stronnictwa narodowe i stworzyła jednolity program polityki polskiej w tej dzielnicy.

«W szczególności zaś wiec wyraził następujące żądania, jako wytyczne punkta tego programu: 1. Charakter czysto polski uniwersytetu we Lwowie ma być utrzymany. 2. Fundusze polskie, jak fundusz oświaty ludowej w r. 1872 zebrany, stypendya przez Polaków fundowane i fundusz religijny, o ile pochodzi z majątku pozostałego po klasztorach, prostych beneficyach, prebendach kapitulnych, kościołach i kaplicach polskich, winny służyć wyłącznie Polakom. 3. Społeczeństwo polskie przedewszystkiem o swoich instytucyach pamiętać powinno, trwonienie zaś ekonomicznych sił jednostek lub sił zbiorowych na cele obce jest czynem niepatryotycznym i nagany godnym. 4. Potrzeba pomnożenia liczby kościołów, kleru, tudzież szkół ludowych polskich i czytelni polskich we wschodniej Galicyi jest naglącą. 5. Majątki polskie we wschodniej Galicyi w drodze parcelacyi tylko Polakom mają być sprzedawane; instytucye krajowe, tudzież wszystkie inne instytucye polskie, o ile przy parcelacyi współdziałają, winny swe współdziałanie uczynić zależnem od dopełnienia powyższego warunku. 6. Obszary dworskie winny zasadniczo dawać zarobek ludności polskiej, celem zapobieżenia dotychczasowej emigracyi za granicę kraju. 7. Moralnym obowiązkiem Sejmu jest wydatnie subwencyonować dla Polaków zamieszkałych we wschodniej Galicyi jeden teatr polski prowincyonalny i jeden teatr polski prowincyonalny ludowy«.

Uchwaliwszy te rezolucye, rozeszli się zgromadzeni ze śpiewem: «Jeszcze Polska nie zginęła!»

Jeżeli w rezolucyach powyższych widzimy stanowisko, zasadniczo Rusinom wrogie, to znajduje ono zupełne wytłomaczenie w hasłach, rzucanych przez agitatorów ruskich i w postępowaniu masy ludności ruskiej pod wpływem tej agitacyi.

= W przeddzień otwarcia roku szkolnego na uniwersytecie lwowskim do rektora prof. Ochenkowskiego przybyła deputacya od słuchaczy Rusinów z żądaniem, aby ten przemówienie swoje wygłosił i w ruskim języku, jeżeli zaś nie może zrobić tego z powodu nieznajomości języka, aby zaznaczył wyraźnie utrakwistyczny charakter uniwersytetu. Rektor żądaniu temu stanowczo odmówił. Rusini dali wyraz swojemu niezadowoleniu, nie przychodząc na akt otwarcia roku szkolnego.

= Na uniwersytecie czerniowieckim władze wprowadzają różne obostrzenia względem języka ruskiego. Dawniej od wstępujących przyjmowano tam dokumenty i świadectwa w tym języku, później zażądano przekładów, a obecnie nakazano, aby te przekłady były legalizowane notaryalnie i opatrzone stemplem po 2 korony. Rusini, którzy we Lwowie występują ze śmiesznemi uroszczeniami, nie protestują przeciw niemieckiej wyłączności w Czerniowcach.

= Przy zapisie na półrocze zimowe r. b. kilku słuchaczy uniwersytetu lwowskiego podało w rubryce wyznania: «mojżeszowe», w rubryce zaś narodowości: «Rusin». Są to pierwsi «Rusini mojżeszowego wyznania» na wszechnicy lwowskiej.

ZABÓR PRUSKI.

= Ostatni spis ludności w państwie niemieckiem wykazuje, że ilość Polaków wraz z Kaszubami i Mazurami wschodnimi, których wciągnięto pod osobną rubrykę, wynosi 3,242.000. Do liczby tej dodać należy tych, którzy w wykazie, jako język ojczysty podali niemiecki i polski. Dodając zaś wielu nieuświadomionych Polaków na Slązku, Warmii, Pomorzu, na Mazurach, wreszcie w Westfalii, Berlinie i t. d., trzeba przyjąć, że liczba Polaków w Rzeszy niemieckiej przewyższa 4,000.000.

WYCHODZTWO I KOLONIE.

= W stolicy brazylijskiego stanu Parana, Kurytybie, odbył się w początku zeszłego miesiąca obchód rocznicy Grunwaldzkiej, zorganizowany przez tamtejsze towarzystwo polskie, z inicyatywy miejscowego «Sokoła». Obchód ten wypadł wprost świetnie, a odbył się tak poważnie, iż nawet miejscowy organ niemiecki, *Beobachter*, poświęcił mu bezstronne i spokojne uwagi.

Na obchód zgromadzili się licznie Polacy z miasta, oraz osadnicy nasi ze wszystkich kolonii okolicznych, nie brakło zaś i przedstawicielstwa z kolonii bardzo odległych tego samego stanu, a nawet sąsiednia S-ta Catharina była reprezentowana przez delegata Towarzystwa Konstytucyi Trzeciego Maja we Florianopolis (Desterro).

Na obchód złożyły się: 1) uroczyste nabożeństwo z kazaniem patryotycznem, podczas którego zebrani nie mogli się pomieścić w miejscowym kościołku; 2) pochód przez miasto z muzyką i sztandarami, w którym wzięło udział parę tysięcy osób; 3) zgromadzenie uroczyste w Towarzystwie Kościuszki, na którem przemawiali wybitniejsi przedstawiciele kolonii oraz delegaci i który zakończono śpiewem: «Jeszcze Polska nie zginęła»; wreszcie wieczorem 4) bal, w którym wzięli udział także znani z życzliwości dla Polaków niektórzy przedstawiciele miejscowego towarzystwa brazylijskiego. Na obchodzie tym wystąpiły już organizujące się w ostatnich czasach chóry i orkiestra polska.

Konsul niemiecki, p. Baerecke, straszył przed obchodem rząd i policyę, że gotuje się demonstracya, która może doprowadzić do zawikłań międzynarodowych, a nawet robił starania u biskupa, żeby nie pozwolił księżom przyjechać na obchód. Akcya jego wszakże okazała się bezskuteczną, a obchód odbył się tak poważnie i okazale, że wszystkim zaimponował.

Mniejsze obchody, przeważnie charakteru kościelnego, odbyły się na kilku koloniach w głębi kraju.

= Założone w roku zeszłym w Kurytybie «Towarzystwo Szkoły Polskiej w Brazylii», rozwija się stopniowo dzięki energii kierowników Świeżo ogłasza ono, iż posyłać będzie na swój koszt do szkoły 10-cioro dzieci rodziców niezamożnych w Kurytybie. Ostatni numer *Gazety polskiej w Brazylii* donosi, iż Towarzystwo otrzymało od bezimiennego ofiarodawcy hojną ofiarę 1000 milrejsów. Do wydawców w starym kraju Towarzystwo zwraca się z prośbą o nadsyłanie mu wydawnictw ludowych i rolniczych do rozsyłania po uboższych szkołach.

Wogóle trzeba stwierdzić z radością, że działalność kulturalna polska w południowej Brazylii przeszła w ostatnich czasach z krzykliwego a dość jałowego okresu w okres pracy realnej. Najpoważniejszym objawem w tym względzie jest wysoki poziom kurytybskiej *Gazety polskiej w Brazylii*, wydawanej i redagowanej przez p. Leona Bieleckiego, najpoważniejszego przedstawiciela polskiego kupiectwa w tym kraju. P. Bielecki przybył z Warszawy do Parany przed dwoma blizko laty, a krótki ten okres już dał go poznać, jako działacza szerokiej miary, któremu młode społeczeństwo nasze w Brazylii wiele będzie miało do zawdzięczenia.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Nowicki.**

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.